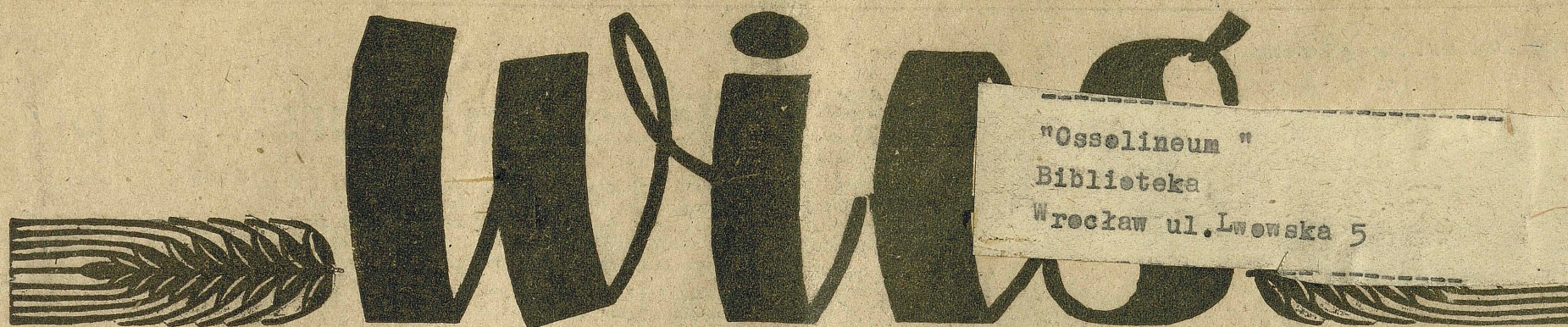




T Y G O D N I K S P O Ł E C Z N O - L I T E R A C K I

Rok IV

Łódź, 27 lipca 1947 r.

Nr 29 (108)

Stefan Żółkiewski

OBECNA SYTUACJA INTELIGENCJI POLSKIEJ

(streszczenie referatu wygłoszonego w Rytywanach)

I.

Na temat współczesnej sytuacji inteligencji polskiej przeprowadzona została na łamach „Kuźnicy” i „Wsi” w ciągu ostatnich dwu lat wyczerpująca dyskusja, zapoczątkowana znaną broszurą profesora Chałasińskiego o społecznej genealogii naszej inteligencji. Nie będę streszczał wyników tej rozprawy. Pragnę bowiem rozważyć jedynie aktualną, obecną, dosłownie dzisiejszą sytuację inteligencji polskiej.

Cytowana dyskusja przyniosła surowy, ale naogół słuszny rachunek błędów inteligencji w stosunku do emancypacyjnych ruchów ludowych w Polsce.

Aby móc jednak krytyczne wyniki tej dyskusji akceptować, trzeba wyraźnie zastrzec się przeciwko pewnym raczej metodologicznym błędom, które wprowadziły do owych wyników wiele niejasności.

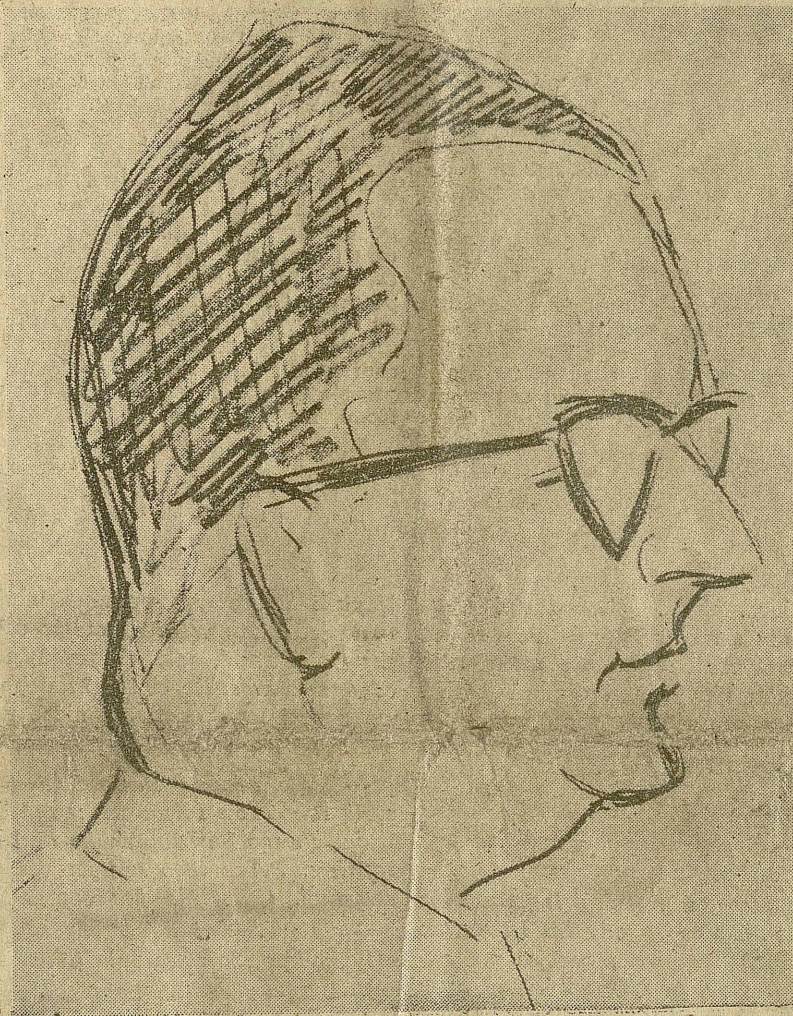
Dyskutanci nie interpretowali sytuacji inteligencji polskiej i jej społecznej genealogii z klasowego punktu widzenia. I źle się stało. Na wynikach i przebiegu dyskusji, zwłaszcza na wypowiedziach jej głównego animatora prof. Chałasińskiego, zaciążyła weberowska interpretacja faktów kulturalnych. Maksowi Weberowi właściwe rozumienie dynamiki społecznej. Spowodowało to, iż głównym przedmiotem rozważań stał się typ strukturalny kultury inteligentnej. Idealny model inteligenta usprawiedliwiony przez genealogię społeczną, kulturalną i obyczajową inteligencji. Model rzekomo decydujący o kulturowym zachowaniu się pokoleń inteligentów. Wśród cech strukturalnych tego modelu wyróżniono np. improduktywną postawę rezydenta szlacheckiego dworku, odcinanie się od innych grup społecznych przez zachowanie ghetta obyczajowego. W ten sposób określony model kulturowy stawał się jakby demiurgiem i on wyznaczał realny podział na grupy społeczne, stawał się czynnikiem motorycznym historii. A naprawdę przecież jest odwrotnie, jak sądzę, to klasowe rozwarstwienie społeczne decyduje, jaką funkcję społeczną spełnia dany wytwór, dany np. typ zachowania się, wzór postępowania, dana ideologia. Pojęcie modelu (Weberowskie) jako heurystycznej konstrukcji pojęciowej badacza, służącej racjonalizacji procesów kulturowych jest, jak sądzę, mylące i bezużyteczne. Jeśli nie określa (a u Webera nie miało określać) ideologii — rzeczywistość wyznawanej w danym czasie, przez daną grupę — powoduje stawianie na głowie dynamiki społecznej przy próbach jej teoretycznego wyjaśnienia.

To nie model kulturowy determinuje daną grupę społeczną, jako obiektywizację jego struktury. To nie struktura modelu inteligenta — jak w naszym przypadku — stała się naturą naszej inteligencji, determinującą jej społeczne zachowanie się. To odwrotnie społeczne zachowanie się inteligencji tłumaczy nam wybór takiej lub innej ideologii. Mówiąc z gruba polityczny sens dążeń naszej inteligencji, uporządkowanie ich celowe wedle potrzeb interesów określonej, przez ekonomikę naszej epoki zdeterminowanej, klasy społecznej tłumaczy wybór takiej czy innej ideologii, takiego czy innego np. wzoru inteligenta, jeśli te formy ideologiczne służyły tymże samym celom, tym samym interesom klasowym, miały ten sam sens polityczny w danym czasie i miejscu. Weberowskie położenie nacisku na strukturalnych cechach danego modelu kulturowego — nic w istocie nie tłumaczy, nie prowadzi co więcej do płodnych ocen. Historia nie jest igraszką logików. Strukturalna konieczność danego modelu nie determinuje w rzeczywistości dziejów. To złudzenie weberowskiego idealizmu. W rzeczywistości

wybiera się sobie ideały i ideologie wedle konieczności walki klasowej. O podziale zaś klasowym społeczeństwa decydują stosunki produkcyjne i ich wyraz ustrojowy. Dyskusja dotychczasowa nie dość jasno określiła klasową pozycję naszej inteligencji. Nie podkreśliła decydującej roli w historii naszej inteligencji czynnika nie kulturowego ideału, modelu inteligentnej kultury, ale właśnie politycznego stanowiska, politycznego opowiedzenia się po stronie konkretnych politycznych dążeń jednej z antagonistycznych klas kapitalistycznego społeczeństwa.

Przykładów historycznych można tu przytoczyć wiele. Wystarczy, że powołam się na dwa ostatnie artykuły J. A. Króla. Wykazuje on jasno, że „ludomania” u schyłku XIX w. nie zmieniła, choć była strukturalnym zaprzeczeniem poprzednich tendencji ghettowych kultury inteligentnej, była wyrazem dążeń do „zbratania się” z inną klasą, z ludem. Ale funkcja polityczna tej ludomani Witkiewiczów i Orkanów była taka sama jak poprzednio funkcja ghettoowego odcinania się inteligencji od ludu. Zarówno ghetto inteligentów, jak i bratanie się z ludem tego typu było ideologicznym wyrazem tych samych drobno-mieszczańskich dążeń klasowych, którym służyła nasza inteligencja na przełomie 19 i 20 w. Zmienić to mogło tylko świadome polityczne określenie się po stronie ruchu ludowego. A to narzuciłoby naszej inteligencji konieczność wyboru nowych wzorców i ideałów kulturowych.

Ta półświadoma przewaga metodologicznych sugestii weberowskich w dotychczasowej dyskusji o inteligencji — zachwiała ją. Przede wszystkim powstało mylne przekonanie, iż w ciągu całego XIX w. pozycja społeczna naszej inteligencji nie zmieniała się, że dominował nad nią trwały model inteligenta. Otóż tak nie było. Inteligencja nasza na początku XIX w. związana jest z inną klasą społeczną, ma



Stefan Żółkiewski

rys. St. Gierowski

przeto inną historię, aniżeli na przełomie 19 i 20 w., kiedy jej historia staje się historią innej klasy: drobnomieszczaństwa. Powtóre — ta weberowska interpretacja — stworzyła pozory jakiejś jednolitości dążeń kulturalnych w Polsce 19-go w. A to nieprawda, mamy w tym wieku różne antagonistyczne, zwalczające się nurty. Waryński jest inteligentem innej kultury aniżeli Klaczko. Po trzecie — ta interpretacja mozolnie konstruuje nasz polski model inteligenta — odcinała historię inteligencji polskiej od historii społecznej Europy. A to fałsz. Bo właśnie o przesuwaniu się naszej inteligencji z pozycji jednej klasy na pozycję innej — decydowały przede wszystkim wielkie przeobrażenia społeczno-gospodarcze całej Europy i wpływy ideologiczne nadbudowy tych przeobrażeń. Po czwarte zaś ta interpretacja powodowała przecenianie czynników obyczajowych — a lekceważenie najistotniejszego czynnika: politycznego określenia się naszej inteligencji.

Trzeba uwolnić się od tych mylnych weberowskich sugestii, aby móc trafnie ocenić obecną sytuację naszej inteligencji.

II.

To co inteligencja polska winna przezwyciężyć jako grupa społeczna nie tyle tłumaczy jej genealogia szlachecka — ile jej pozycja w Polsce w okresie kapitalizmu finansowego. To nie jest niejasna sprawa modelu kulturowego, ale prosto sprawa związku z politycznymi ruchami mas ludowych. Inteligencja nasza w swej większości robiła robotę ideologiczną dla drobnomieszczaństwa. To drobnomieszczańskie poczucie katastrofy w dobie kapitalizmu monopolistycznego wyraża inteligentki antyreformistyczny pesymizm.

Surowej ocenie inteligentnych błędów, która przyniosła omawiana wyżej dyskusja, ocenie zaostrożonej jeszcze naszą polityczną kwalifikacją — należy dziś jednak przeciwstawić rozsądne zdanie, że budo-

wanie nowej kultury Polski Ludowej nie jest do pomyślenia bez starej i nowej inteligencji.

Trzeba mobilizować całą naszą inteligencję do tej pracy, tego wymaga dobro kultury, która nie może być budowana bez fachowej wiedzy, bez znajomości warsztatowych praw tworzenia kulturowego, którymi dysponuje z racji swych zawodowych i społecznych kwalifikacji inteligencja. Tymczasem stawia się przeszkody tej mobilizacji.

Znów odstrasza się inteligencję od związania się z politycznym ruchem emancypacyjnym mas. Znów odstrasza się ją od nowego, postępowego określenia się politycznego. A to oznacza pozostanie przy klasowych pozycjach drobnomieszczaństwa nawet po wszelkich przemianach „modelu kulturowego”, które będą tylko zmianami rysów tej samej klasowej marki.

Cechą naszej kultury, jej twórczą, nowatorską i postępową cechą jest jej głęboki i istotny związek ze zorganizowanymi, politycznymi ruchami mas. Partie chłopskie i robotnicze reprezentujące najdojrzałe i najlepiej uświadomione dążenia klasowe mas — wpływają również na formowanie się nowej ludowej kultury.

Inteligencja przedstawia się jako ograniczanie swobody kultury, swobody twórcy wartości kulturalnych przez biurokrację partyjną.

Nadużycia biurokracji są złem. Ale nie są żadną koniecznością. Obecnie wbrew tym alarmistom przeżywamy raczej okres niedorozwoju biurokracji czy ściślej mówiąc aparatu administracyjnego państwa ludowego i partii masowych. Wpływ tych politycznych organizacji na rozmach i styl życia kulturalnego mas w Polsce — jest całkowicie pozytywny. To widzi każdy nieuprzedzony obserwujący rozkwit ludowych instytucji życia kulturalnego teraz po zwycięstwie politycznym mas ludowych i utrwaleniu się wpływów ich politycznych reprezentacji — w porównaniu do czasów choćby przedwzrostu. To też dziś mobilizować inteligencję przeciw wpływom w kulturze zorganizowanego politycznego ruchu mas znaczy tyle co umacniać ją na pozycjach klasowych obcych ludowi. Nie ma sojuszu z ludem poza wspólnym programem politycznym, w oderwaniu od politycznych dążeń ludowych.

To też inteligencję należy mobilizować dziś do współpracy w dziedzinie kultury z tym ruchem politycznym. Bo to jest specyficzna cecha nowej ludowej kultury w Polsce.

To też oceniając sytuację inteligencji obecną, dzisiejszą trzeba powiedzieć, że stojmy przed koniecznością stworzenia wielkiego ruchu kulturowego w Polsce — aby zrealizować po reformie rolnej i przemysłowej trzecią wielką reformę w Polsce, reformę kulturalną.

Koniecznym z technicznego i ideowego punktu widzenia uczestnikiem tego ruchu musi być inteligencja. Warunkiem realnym jej uczestnictwa jest zaufanie mas, które musi zdobyć dla swoich fachowych kwalifikacji.

A zdobycie tego zaufania całkowicie zależy od braterskiej współpracy inteligencji polskiej z ideologicznymi reprezentatami mas ludowych: ich partiami politycznymi. Bo wybór ideologii — to wybór stylu kultury. A jednocześnie technicznie właściwy tok działania kulturowego — to warunek konieczny właściwego poziomu, godności tej kultury.

To też sprawa naszej kulturalnej przyszłości — to styl kultury inspirowanej przez ludowy zorganizowany ruch polityczny i urzeczywistnianej przez wykorzystanie całej dojrzałej techniki osiągniętej przez historię naszego kryzysu kulturowego.

Janusz Roszkowski i Jerzy Falenciak

rys. Stanisław Cieloch

Prawna odpowiedzialność chłopu za warsztat pracy

I.

Tworzenie jakiegos odrębnego systemu odpowiedzialności prawnej chłopu z tytułu jego działań, pozostających w związku z jego warsztatem — ziemią, byłoby dziś przedsięwzięciem przedwczesnym i nieuzasadnionym, ani praktycznie, ani teoretycznie. Nie wiadomo też, czy konstruowanie takiego systemu będzie potrzebne kiedykolwiek w przyszłości, a to z jednego prostego powodu: ziemia, rola — jak to zwykło się mówić — nie stanowi obecnie dobra tak specyficznego, jakim ją widzą niektórzy, rozumujący jeszcze kategoriami tradycyjnej ekonomii — i upadająca się coraz bardziej do innych obiektów gospodarczych służących do prowadzenia działalności zarobkowej w zakresie prywatnym poza dziedziną działalności zarobkowej kupca. Nie mniej różnorodne powiązanie chłopu z jego ziemią ze złożonym aparatem spółdzielczości oraz gospodarczych zamierzeń samopomocy chłopskiej czyni nasze zagadnienie trudnym do oderwania od całości zagadnień gospodarczych działalności prywatnej w Państwie Polskim, zarobkującej przy pomocy takiego czy innego zespołu środków materialnych i technicznych.

Przypatrzymy się jednak części najważniejszych przepisów prawnych, układających stosunki rolne w Polsce od strony stanowiska chłopu, działającego na właściwej mu podstawie gospodarczej — roli. Z obserwacji i analizy tych przepisów możliwa jest od wypadku do wypadku dedukcja prawnej odpowiedzialności chłopu — jako podmiotu zobowiązania, obligacji — kształtowanej nie tylko na podstawie prywatno — prawnym, ale także na podstawie norm publiczno — prawnych.

I tak, dekret z dnia 6 września 1944 r. o przeprowadzeniu reformy rolnej (Dz. U.R.P. Nr 3, poz. 13) zastrzega w art. 1, że „ustroj rolny w Polsce oparty będzie na silnych, zdrowych i zdolnych do wydajnej produkcji gospodarstwach stanowiących prywatną własność ich posiadaczy”. Zastrzeżenie to nie jest jedynie deklaracją, wieszczącą nowy porządek w polskim rolnictwie. Ustawodawca powiedział w nim coś więcej, bo nałożył obowiązek na chłopu, aby ten produkował wydajnie w miarę wszystkich swych możliwości gospodarczych i osobistych. Sankcją w tym przypadku będzie wszakże nie nakaz i nie zakaz ustawowy, lecz konsekwencja ekonomiczna, ucieleśniona w typowym „bankructwie chłopskim”. Dalsze zaś skutki takiego „bankructwa” zawsze osądzi się i rozstrzygnie według reguł prawa powszechnego, tak samo jak w odniesieniu do innych jednostek nie kupieckich, spoza stosunków rolniczych, nie potrafiących utrzymać się na swym warsztacie.

W wyraźnej zależności od rozważanego dotychczas przepisu jest postanowienie zawarte w art. 13 dekretu o przeprowadzeniu reformy rolnej, zakazujące w sposób zasadniczy częściowego lub całkowitego dzielenia, sprzedawania, wydzierżawiania i zastawiania gospodarstw powstałych w następstwie ostatniej reformy rolnej. Sankcja tego przepisu jest już wyraźna, określona przez prawo, a nie tylko przez przewidywanie na skutek gospodarczego rozumowania.

Przypadki odpowiedzialności chłopu za warsztat pracy, którą i tu trudno nazwać prawną w ścisłym znaczeniu, zawiera dekret z 30.3.1945 r. o przymusowym zagospodarowaniu użytków rolnych (Dz. U.R.P. Nr 11, poz. 59) w art. 1, 2, 3, 4, 5, 6 i 8. Odpowiedzialność ta dotyczy chłopu pojedynczo bądź zbiorowo, sołtana, razem z gromadą i to nie tylko za pełne i prawidłowe zagospodarowanie użytków ale nadto za organizację akcji w postaci samopomocy rolnej. Sankcją tej odpowiedzialności ma być podwyższenie podatku gruntowego dla wszystkich, którzy nie zagospodarowali posiadanych przez siebie użytków rolnych.

Podobne ujęcie odpowiedzialności chłopu za warsztat pracy lub w związku z tym warsztatem występuje w dekrecie z 22.12.1945 r. o ochronie hodowli zwierząt gospodarskich (Dz. U.R.P. Nr 2, poz. 12), w dekrecie o zwalczaniu spekulacji wojennej (Dz. U.R.P. Nr 9, poz. 49 z 1944 r.), w dekrecie o planowym zagospodarowaniu przestrzennym kraju z 2.4.1946 r., w dekrecie z 25.6.1946 r. o państwowym planie inwestycyjnym (Dz. U.R.P. Nr 32, poz. 200), w dekrecie z 8.8.1946 r. o wpiśnięciu do ksiąg hipotecznych prawa własności nieruchomości przejętych na cele reformy rolnej (Dz. U.R.P. Nr 39, poz. 233) oraz w szeregu innych jeszcze ustaw specjalnych.

Przykłady obchodzącego nas tu zagadnienia są liczne i nie sposób ich wszystkich wyliczyć z gesty prawa powszechnego oraz szczególnego. Badanie ich wykazuje niezawodnie, że odpowiedzialność prawna chłopu za warsztat pracy jest instytucją, która nie mieści się łatwo ani w dziedzinie prawa prywatnego, ani publicznego. Powstaje więc pytanie, do jakiego działu prawa należy ją odnieść.

Prawnicy nastawieni teoretycznie uważają, że jest to dział nowy zupełnie, gdzieś między prawem publicznym i prywatnym, i zowią go prawem gospodarczym. Ale tam wlicza się nie tylko przedmiot nas w tej chwili interesujący, bo na równi z nim stoi np. prawo tzw. ziemieństwo, prawo górnicze i inne, które też nie mają swego „kodeksu”, podobnie jak prawo „agrarne”.

Jakie zaś mogą być konsekwencje tego zagadnienia prawnego w przyszłości — „de lege ferenda” — o tym w drugiej części referatu.

II.

Na tie powyższych uwag, można ważyć się na postawienie następującego twierdzenia: odpowiedzialność prawna chłopu jest dwoja-



Janusz Roszkowski

kiego, nawet trojakiiego rodzaju. Odpowiada więc on na podstawie prawa publicznego i prywatnego tak samo jak i inni obywatele, czym by on się nie trudził. Jeżeli więc zabije człowieka — odpowie za to karnie, jeżeli naruszy przepisy drogowe — odpowie karno — administracyjnie. Jeżeli następnie coś kupuje — musi zapłacić cenę kupna, jeżeli sprzeda — ma wydać towar, jeżeli pożyczy — ma zwrócić dług itp.

Czym innym natomiast jest jego odpowiedzialność za warsztat pracy, która — co ciękawie — stanowi zagadnienie nie tyle interesujące dla prawnika, ile dla ekonomisty a nie raz nawet i socjologa. Wszelako i w tym razie nie należy spodziewać się, aby ta odpo-

Zygmunt Stolarski

Ciur... ciur... ciur... ciurkają pierwsze strużki mleka na blaszanym dnie wiadra. Miętko, elastycznie ugina się pełne, białe wymię pod chwytnymi dłońmi Józka. Jagoda stoi spokojnie i gryzie dźwięgę. — W lewo i w prawo, w lewo i w prawo, jak tryby w maszynie, chodzą w oślinionej gębie żółte, niskie zęby. Jagodę nauczoną w czasie doju stać nieruchomo, nie kręcić się za burakami. Dworska krowa.

— Hrabianko, to przecież Jagoda VI z twojej obory. Córką Jagody III i Stromy, z rodziny tych Jagód o wysokim procencie tłuszczu. Czy pamiętasz? Dwie były sławne rodziny w oborze Malinówka: Jagody i Sonnie'e. Obie po wspańiały Sultanie.

Strużki mleka syczą teraz w głębi wiadra już bez szeleszczących, blaszanych odgłosów. Grube, jak wełniana włóczka nitki wypisują zakrętas w białej pianie. Józek odchyła nieco głowę od baniastego brzucha krowy i patrzy do wiadra. Szóstki, ósemki na skłębionym kożuchu powierzchni jawią się to z jednej, to z drugiej strony krawędzi wraz z odczuciem w dłoni naprężonej pulchności strzyków.

Nie bez dumy obserwuje, jak żółtawe, płynne mleko faluje pod śnieżną pianą i przelewa się już ponad pierwsze wręby. — Chrupiący odgłos gryzionej dźwięgi wraz z szumem wbijających się w pianę strużek mleka odmierza ciężar wiadra. Podnosi się falująca powierzchnia. Trzy, cztery, pięć, litrów... Zaciśnięte dłonie pompują bezustannie. Biała włóczka snuje się coraz grubsza, szóstki i ósemki — głębsze i trwalsze rysują się w pianie.

— Wozil cię parę razy kasztankami nad ilnickie stawy. Józek — czerstwy, krępy blondyn, dobry stanęret, siostrzeniec szwajcera. Upatrzył sobie już wtedy Jagodę VI. Przy parcelacji dostał ją wraz z polem między parkiem a groblą.

— Spokojnie, Jagódka!

Muchy się już legną. Trzeba krowie obciąć kitę ogona, żeby tak nie siekła. Dobrze, że ściółki starcza. Jakby tak nasiąkłym gnojówką pendzlem smagnęła...

Czas jednak odpocząć. Rozdoiła się krowka.

Józek jedną dłonią podtrzymuje przed kolanami ciężące już wiadra, drugą machinalnie ugniata wymię krowy. Jagoda znosi to obojętnie, nie ogląda się nawet za siebie. Wysuwa właśnie czarny, szorstki

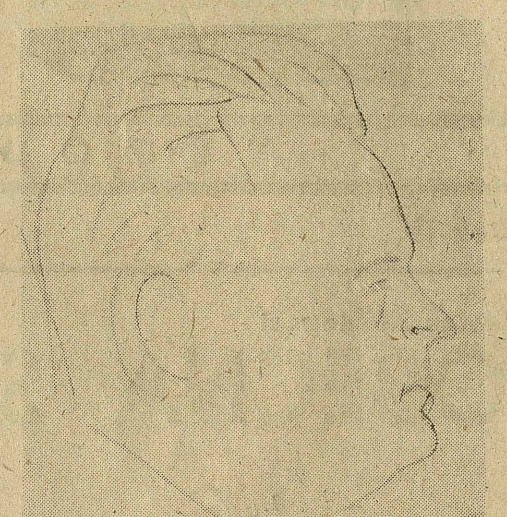
wiedzialność wykazywała właściwości zasadniczo ją wyodrębniające spośród kompleksu odpowiedzialności wszystkich jednostek, działających zarobkowo w życiu gospodarczym kraju, poza oczywistą, typowymi kupcami.

Widzi się więc, że prawo polskie konsekwentnie unika jakiegos bliższego określenia pojęcia „chłopa” i to nie tylko od strony nazwy. Dosadnym na to dowodem jest dekret o ustroju rolnym i osadnictwie na obszarze Ziemi Odzyskanych i terenie b. Wolnego Miasta Gdańska z 1946 r. (Dz. U.R.P. Nr 49, poz. 279), w którym nigdzie nie przeciwstawia się gospodarce typowo chłopskiej, gospodarce ogrodniczej, szkółkarskiej czy hodowlanej, łącząc je, co więcej, w jednolity zespół gospodarczy. Postawienie chłopu, prowadzącego swój warsztat — ziemię — w sposób przeważnie ekstensywny, obok ogrodników, hodowców itp. pozwala na przewidywanie, że polityka ustawodawcza w przyszłości nie pójdzie w kierunku uświadczenia tradycyjnej dziś jeszcze postaci chłopu, jako swoistej jednostki w gospodarce narodowej. Wspomniamy przed chwilą dekret, jeżeli w ogóle wyodrębnia kogokolwiek, to nie chłopów, lecz tych wszystkich, którzyby chcieli uzyskać własność ziemi dla spekulacji, celem jej późniejszego odsprzedażania i przejęcia z uzyskaniem przez to kapitałem do innej działalności zarobkowej, niż uprawa roli.

Czym jest wreszcie odpowiedzialność chłopu za jego warsztat? Jest ona, odpowie działalnością prawną, w której czynnik odpowiedzialności osobistej gra o wiele mniejszą rolę, niż czynnik odpowiedzialności gospodarczej i społecznej. W naszych stosunkach nie oznacza to wcale, że odpowiedzialność gospodarza i społeczna chłopu za warsztat pracy doprowadzić może do katastrofizm tego warsztatu, i do unicestwienia jego prywatnego charakteru. Oznacza to jednak, że chłop nie przestając być zupełnym właścicielem swej ziemi, nie stanie się nigdy kapitalistą, czyli

typem społecznie i gospodarczo obcym wsi polskiej.

Inna rzecz, że niechętni dziełu reformy snują przypuszczenie, że chłop polski, uzys-



Jerzy Falenciak

kawszy ziemię i doczekawszy się uwolnienia, wsi spod feudalnej mocy pańskiego dworu utracił raz na zawsze znajomość radykalizmu społecznego, że zerwie niebawem więz sojuszu z klasą robotniczą, jako ostoją dalszych jeszcze przemian i, że zwykłą koleją rzeczy przejdzie z obozu postępu do obozu wstecznicstwa.

To jednak nie grozi, gdyż między „kołchozem” a „kułakiem” jest tak wielka przestrzeń działalności gospodarczej przy pomocy ziemi, że wiele jeszcze odmian takiej działalności na niej się pomieści.

I z tego chłop polski zdaje sobie całkowicie sprawę.

W MALINÓWKU

język i miarowym podrzutem wtyka go to w jeden, to w drugi otwór oślinionych chrap. Powoli, jakby z namysłem przedźwignął w sobie ciężar brzucha na prawą nogę i lewą odstawia nieco wbok.

— Spokojnie, Jagódka!

— Pole między stawami a groblą dostali robotnicy folwarczni: 15 rodzin. — Z całych 130 ha Malinówka obdzielono 53 rodziny. Prócz tego została resztówka ze stawami. Gorzelnia już czynna...

— Nie używaj jednak aż tak mocnych słów, mimo, że rewolucja była łagodna.

— No, dosyć już tego masowania. Józek przywykł trzy razy w ciągu doju ugniatać wymię. Zapożyczył ten zwyczaj od swego wujka, dworskiego szwajcera, choć nie bardzo wierzy, aby miało to takie zbawienne skutki, jak rozrost wymienia i większa jego wydajność. Zdaje mu się zato, że krowie sprawa to przyjemność.

Strzyki są znów napęczniałe i sprężyste. Wiadro trzeba bardzo mocno trzymać udami i stopy wprzecz w słomę.

Już teraz szum spadających strużek jest całkiem cichy — tak cichy, że ledwie go słychać poprzez bulgoty, harcujące w brzuchu krowy. Jagoda żuć przestała i myszkuje gębą po dnie żłobu, nozdrzami wydmuchując plewy i sieczkę. Nie znalazłszy jednak nie godnego uwagi, sennie przypatruje się ścianie, aby po chwili polizać jaśniejsze jej miejsca. Uczuwszy, że człowiek osmykuje teraz strzyki szybkimi ruchami, zwraca ku niemu głowę. Wydmuchuje Józekowi w nos resztki plew z nozdrzy wraz z ciepło — kwaśnym zapachem krowiego żołądka.

— No, no, Jagoda — śmieje się Józek z niejakim niesmakiem.

— Czy wiesz? Zachody słońca nad stawami nie straciły nic ze swego uroku. — Rozbawione dzieci chłopskie w wieczory gromadami biegają po groblach. Woda i gdzie od wsi śpiew dziewcząt ze świetlicy.

Krótkie, ostatnie nitki gęstego mleka pluszczą w pełnym wiadrze.

— To sam tłuszcz. O, teraz trzeba najstaranniej.

Józek lewą dłonią przytrzymuje strzyk, a prawą ściąga w dół ostrożnie małe zgrubienia pod zwiotczałą skórą. Tak po kolei każdy strzyk, aż nitki wełny staną się przedzą jedwabną.

Jagodę nieco drażni ta uporczywość czło-

wieka. Niby to dla odgonienia muchy podnosi nogę, zakolebawszy banią brzucha.

Józek już nie przygaduje krowie. Wstaje ze stółki i przenosi na bok wiadro — oburącz, aby nie zachybotać. Krótkimi, mocnymi półobrotami wórowuje je w miękką pościółkę i wraca pod krowę z małą blaszanką.

— To już ostatek, Jagódka.

Oficynę pałacu przerobili na szkołę. — Bo czy wiesz, że 80 proc. ich dzieci, zwłaszcza dawne tak zwane „posylki”, to pełni analfabeci? Tak, nikt by się nie spodziewał.

— Sądzisz, że to istotnie z lenistwa?

Ostatnie masowanie wymienia wykonuje najstaranniej i ze stosunkowo większą wiarą w jego praktyczną przydatność. — Krowa bowiem kręci się, wyraźnie już zniewierpliwiona i szerokimi machnięciami ogona (— Dyc muchy cię tak nie gryzą!) — rozgarnia w powietrzu wydmuchiwane nozdrzami rozdrażnienie.

— Wolalabyś, żeby cię pod szyją draścić, nie?

Trzeba dodoić do końca, Jagódka.

— Koty? Tak bardzo ci ich żal, hrabianko? Oba twoje białe kotki wioły się jakiś czas po twoim nagłym odejściu zdziwały całkiem, ale potem zaczęły jakoś przychodzić do mieszkania Józka.

W strzykach znowu pęcznieje mleko. — Najpierw pełną garścią, potem osmykując palami, zdaje je Józek do blaszanki.

— A widzisz, dałaś półkwaterek. Poczeka trochę. Jeszcze ten ostatni strzyk.

Koniec. Nic się już nie wyciągnie. Józek prostuje grzbiet, odsapnąwszy z ulgą. Klepie otwartą dłonią po brzuchu bynajmniej tym nie uszczęśliwioną Jagodę i zlewa zawartość blaszanki do wiadra. — Trochę zostawia dla kotów, które nie przywołane — białe i zwinne — wskakują nagle zza progu wprost w ostry zapach obory.

Pochylonych nad miseczką nie płoszą kroki odchodzącego z wiadrem Józka.

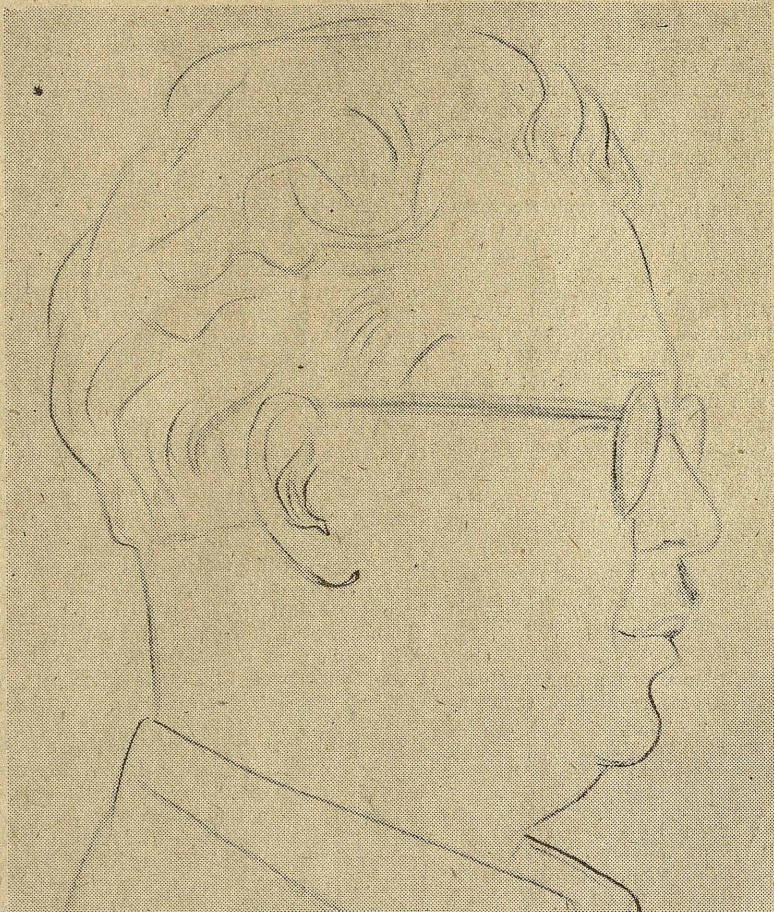
Jagoda fuka chrapami i stęka, jakby się ciężko spracowała. Jeszcze raz sprawdziwszy, że w żłobie nie ma nic prócz sieczki i plew, przestępuje z nogi na nogę w celu ułożenia się do drzemki.

Białe koty zgodnym susem skaczą przez próg, spłoszone szelestem.

— Mamo, chodźcie cedzić! — woła Józek sprzed ganku.

Stefan Dybowski:

Przemówienie na otwarciu Zjazdu



Min. Kultury i Sztuki Stefan Dybowski

rys. St. Cieloch

W imieniu Rządu Rzeczypospolitej Polskiej i w imieniu własnym witam zjazd pisarzy chłopskich, pisarzy grupujących się dokoła tygodnika „Wieś” i życzę temu zjazdowi jak najowocniejszych obrad, które przyczynią się do rozwoju kultury polskiej, do związania wsi polskiej z miastem. Nigdzie na świecie, a przynajmniej nigdzie w Europie niewola chłopów nie była tak głęboka jak u nas. Szlachta mając na uwadze tylko swoje korzyści wtrącała chłopów w niewolę i w nędzę. Państwo nie mieszało się w stosunki między chłopem a panem. Mimo ucisku chłop polski zawsze chętnie szedł ku Polsce, przedzierał się ku Polsce. Wiemy na podstawie badań, że nie prawdą jest jakoby w walkach, w wyprawach wojennych brała udział tylko szlachta. Badania wykazują, że w większej mierze chłop był obrońcą Państwa. I tak z pokolenia w pokolenie z trudem przedzierając się ku Polsce chłop stał się czynnym, odpowiedzialnym obywatelem.

Jednak stosunek wsi do miasta, stosunek człowieka do człowieka w Polsce dzisiejszej ciągle jeszcze nie jest taki, jaki powinien być. Nosi on w sobie dawne cechy nienawiści między wsią a dworem. I dzisiaj jeszcze chłop nie zawsze jest należycie załatwiany w urzędach. I my dzisiaj zbyt często sądzący ludzi po ubiorze, mniej zwracając uwagi na jego treść wewnętrzną. Długo jeszcze w Polsce będziemy musieli walczyć o poszanowanie człowieka, o należyty stosunek pomiędzy wsią a miastem.

Ludowa Demokracja przyspiesza ten proces. Dziś różnice społeczne się wyrównują. Tygodnik „Wieś” spełnia tu szlachetną misję. Tygodnik „Wieś” skupia pisarzy chłopskich, pisarzy pochodzących ze wsi lub oddanych sprawie chłopskiej, wnoszących do kultury polskiej cenne wartości. Słusznie redaktor Król nazywa „Wieś” trybuną, z której mogą się wypowiedzieć wszyscy ci, którym dobro wsi leży na sercu. Nie mogliby tego uczynić gdyby nie mieli własnego pisma. To co dawniej obracało się tylko w małym kręgu wiejskim, dziś staje się własnością całego narodu. Ludzie dawniej nieznani a tak bardzo ceni, stają się znani i kochani przez naród. To jest wielkie osiągnięcie. Dziś na sali widzę tu parę pokoleń. Mamy tu i tych między sobą, którzy torowali chłopom drogę do narodu, do polskości. Takie nazwiska jak: Wyrobek, Czula, Kapuściński, Stopczyk sięgają daleko wstecz, łączą się z początkiem pisarstwa chłopskiego w Polsce. Obok nich mamy innych, którzy jak Pogan stanowią pokolenie młodsze pisarzy a obok cały szereg najmłodszych pisarzy, którzy próbują swoich zdolności na łamach tygodnika „Wieś”. Jest ważną rzeczą, że tygodnik „Wieś” potrafił właśnie skupić przy sobie stare i młode pokolenie, pracujące razem nad realizacją idei przełamania wiejskiego opłotku kulturalnego. „Wieś” chce dźwignąć chłopów z zacofania wiekowego, z zacofania spowodowanego wiekową pańszczyzną. Mamy tu wiele do zrobienia zarówno pod względem kulturalnym jak i gospodarczym. Te dwie sprawy kulturalna i gospodarcza wiążą się ze sobą

silnie. Dobra linia kolejowa, wybudowana droga, szkoła, każdy traktor idący na wieś, powstające spółdzielnie to wszystko sprzyja rozwojowi kultury. Dziś, gdy powróciliśmy na nasze ziemie zachodnie, gdy otrzymaliśmy duży dostęp do morza, z dnia na dzień rozwija się przemysł, szybkim krokiem kraj nasz odbudowuje się i rozwija w tym procesie przemian narodowych udział w rzeczywistości społecznej zyskuje na znaczeniu. Jesteście czołową wsi. Stoje na czele resortu, który został powołany do życia przez demokrację ludową i nazywa się Ministerstwem Kultury i Sztuki. Resort ten w pierwszym okresie powojennym nie mógł być należycie postawiony, bo musieliśmy walczyć o podstawy gospodarcze demokracji. Cała uwaga rządu była na tym skupiona. Dziś, gdy rewolucja ludowa w Polsce okrzepła, gdy wychodzimy z trudności gospodarczych, zniszczeń wojennych, oczy rządu, oczy partii politycznych, oczy całego narodu zaczynają się zwracać ku resortowi Kultury i Sztuki. Bez podniesienia kulturalnego narodu, bez powiązania z dawną tradycją kulturalną Polski nie osiągniemy dobrobytu. Partie polityczne delegują do resortu Oświaty oraz Kultury i Sztuki coraz cięższych ludzi, a Państwo daje coraz więcej finansów na cele kulturalne. Musimy rzucić wielką ilość książek na wieś, musimy zakładać świetlice i teatry. Niedawny konkurs zespołów świetlicowych w Warszawie wykazał, jak silny jest oddolny pęd do kultury. Ale proces ten nie może iść pomimo nas i bez nas. Dlatego musimy wyjść mu na przeciw z pomocą, musimy wskazywać kierunek. Sądję, że zjazd ten sprawą tą się zajmie i omówi ją wszechstronnie. Sądję, że zjazd ten będzie dla małej redakcji „Wsi” czynnikiem zapładniającym i pobudzającym do jeszcze intensywniejszej pracy. Sądję, że zetknięcie się ludzi, którzy pracują dla kultury nie znając się często z twarzy a tylko z prac i nazwiska, że ten kontakt osobisty przyczyni się do jeszcze zgodniejszego, jeszcze bardziej solidarnego działania dla podniesienia wsi polskiej i związania tej wsi z ogółem narodu.

S. Moskwa

Przemówienie powitalne

Panowie Ministrowie, wszyscy dostojni i drodzy nam Goście!

Mam zaszczyt powitać Państwa w imieniu Wojewody Wiślicza, w imieniu własnym i całej ziemi kieleckiej. Jednocześnie przez moje usta wojewoda Wiślicz przeprasza, że nie może przybyć osobiście na początek zjazdu, ale zatrzymują go egzaminy na Uniwersytecie Łódzkim.

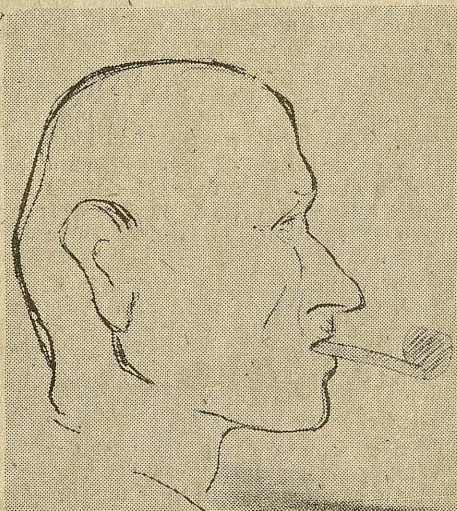
Nie jest rzeczą przypadkową, że ten wielki zjazd zorganizowany przez tygodnik „Wieś” odbywa się właśnie na ziemi kieleckiej. Ziemia kielecka jest szczególnie uprzywilejowana, jeżeli chodzi o jej udział w ogólnopolskim dorobku literackim. Tu, z tej ziemi wywodzi się Mikołaj Rej. Tu u nas pisał swe wiersze Jan Kochanowski. Z tej ziemi pochodzi reformator Stanisław Konarski, który za główne zadanie postawił sobie połączenie wychowania szkolnego z nurtem ogólnospołecznym i poli-

SPOŚRÓD UCZESTNIKÓW Z J A Z D U



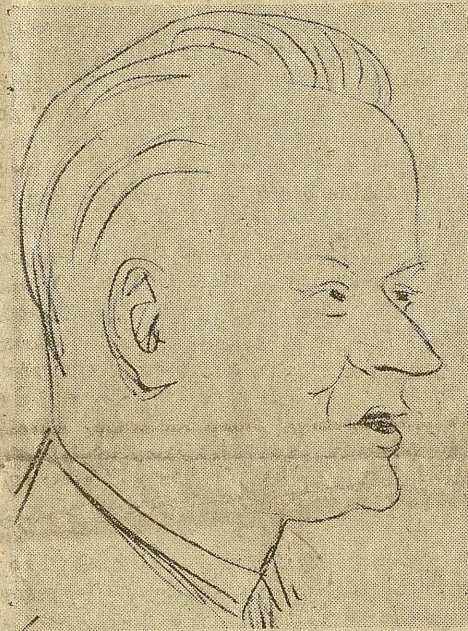
rys. St. Gierowski

Józef Pogan



rys. St. Cieloch

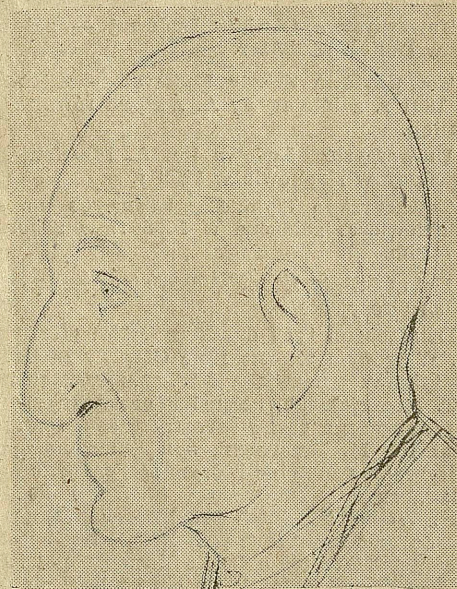
Jan Mareinek



rys. St. Cieloch

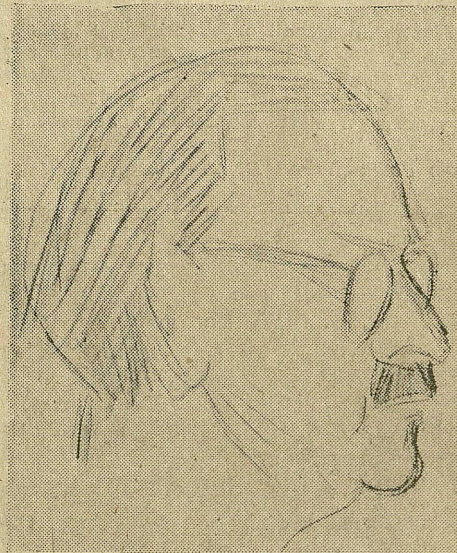
Wicewojewoda kielecki, St. Moskwa

tycznym. Tu działał wielki trybun ludowy ksiądz Ściegienny. Z ziemi kieleckiej wyszedł Jan Matejko. Ziemia kielecka związana jest jednak przede wszystkim z nazwiskiem Żeromskiego. Dziś przyszedł czas, że chłop polski posiada swoją inteligencję, wprowadza swój trud intelektualny do kultury narodowej. Wybudujecie dla Polski nową kulturę, nową pod względem treści i formy, związaną z dzisiejszą rzeczywistością, z życiem Państwa Polskiego. Zyczą Wam z całego serca, by na zjeździe nawiązała się między Wami, ziemią kielecką i Polską całą nić zrozumienia zadań i celów nowego pisarstwa polskiego.



rys. St. Cieloch

Jakub Wojciechowski



rys. St. Gierowski

Krzysztof Radziwiłł

Władysław Strzelecki

POZDROWIENIE

Gęstą kratą międz spięta, jak bezzębną broną
praży słońce lipcowe. — Chleb pali się w ziarnach.
Kurz żre płuca „bandosów”, co ostatni szarwark
odrobili i niemi wracają do domów.
Zalegi lat odchodzą. Z pagórkowych siwizn

strudzeni błogosławia synów swoich rozmach.
W Rytwianach gościem tylko sam Krzysztof Radziwiłł,
a w Radzie Wojewódzkiej w Kielcach urzęduje Ozga.

Najeżona sękami potrzaskanych lasów
sękatą dolą lud twój niepodległy krzepisz.
Palą się w oczach ognie. Trwanie lepszym czasem
i trwanie wiecznym zmianom na mądrzej, na lepiej.

Radzą chłopscy działacze w pałacach szlacheckich.
Ty ziemio wielkich synów na pracę nas wesprzyj.
Ślaczka wśród nas żyje i ludym — społecznik.
Z narodem idziem w ludzkość ład gruntować lepszy.

Zdobna lasów zieleni lśniącym malachitem
krzep ziemio trud i pokój pół razową karmą.
Z legend wieków startuje — słoneczniej w żyłach
realna wizja szczęścia, wypruta spod darni.

Helena Brodowska

NARODOWA OŚWIATA LUDU (II)*

Spółczesność polskie miało szczere chęci wyrównania braków szkoły rządowej oraz dostarczenia polskiej oświaty dzieciom nie uczęszczającym do szkół rządowych. Poza nauczaniem w rządowych szkołach ludowych istniało, jak to już wspominałam, szczególnie na terenie b. Kongresówki tajne nauczanie. Mimo ciężkich warunków, obejmowało ono, jak podaje M. Straszewski dość znaczny procent dzieci. W braku szczegółowych statystyk trudno nabrać istotnego pojęcia o stanie tej oświaty. Po dwudziestu latach istnienia Towarzystwa Szkoły Ludowej założonego w 1891 r. z inicjatywy Adama Asnyka do szkół tego Towarzystwa uczęszczało około 14,000 dzieci. Zważywszy, że Towarzystwo rozwijało swoją działalność oświatową w Galicji, w warunkach pewnej swobody nauczania, w atmosferze sprzyjającej szeregów oświaty oraz to, że dane odnoszą się do drugiego już dziesiętka wieku XX. — liczba ta przestaje imponować. Nie ujmując niczego dobrym intencjom i staraniom polskich sił narodowych w dziedzinie oświaty ludowej, trzeba stwierdzić, że to, co robiono znacząco tyle, co rosa na wysuszonej skwarze słonecznym łące.

Nauczaniem tajnym zajmowano się po dworach polskich, czasem przy kościele ksiądz i organista uczył, bardzo często chłop, niekiedy jeszcze żołnierz napoleoński — umiemy czytać, zbierał dzieci i potajemnie uczył je tego, co sam umiał. W aspekcie „narodowego czynu” dokonywało się dzieło oświecania chłopskiego dziecka. Szlachcic, ksiądz i chłop stawali do walki z ciemnotą. Narodowa walka z ciemnotą rozwijała się równolegle na dwi frontach:

W pracy z dziećmi w wieku szkolnym i w pracy, dziś zaliczanej do tzw. oświaty poza-szkolnej, obejmującej młodzież i dorosłych. Dlatego pisarze inteligencji, epigoni dawnej szlachty i arystokracji rodowej złotymi zgłoskami wypisują o odkupieniu błędów popełnionych przez dziadów i ojców wobec siermiężnego ludu.

Odkupieniem nazywa jeszcze Z. Dębicki trud pracy oświatowej nad ludem. Nie jeden z dzisiejszych jeszcze historyków kultury i społecznych dzieł Polski okres ofiary życia Judy i Siłaczki dźwigających ciemny i ubogi lud na wyższe górnych ideałów nazywa okresem oświaty ludowej.

Okres ostatniej ćwierci XIX wieku w dziejach inteligencji polskiej zaznaczył się rzeczywiste ożywienie pracą nad ludem.

Sympatie dla ludu i troska o lud w końcu XIX w. w kołach postępowej polskiej inteligencji urastały do zadziwiających granic. Wystarczy wymienić kilka nazw związków i stowarzyszeń powstałych w różnych zabiorach pod koniec XIX w., aby się o tym przekonać.

Towarzystwo Oświaty Ludowej — założone w Galicji w 1881 r.

Towarzystwo Szkoły Ludowej — założone w 1891 r. z inicjatywy A. Asnyka również w Galicji.

Uniwersytet Ludowy im. A. Mickiewicza założony w Krakowie w 1893 r.

Towarzystwo Wykładów Ludowych im. A. Mickiewicza, założone w 1898 r. w zaborze pruskim.

Koło Oświaty Ludowej działające na terenie zaboru rosyjskiego.

Działaczami tych organizacji byli inteligenci. W jednym jedynie Kole Oświaty Ludowej spotykamy nazwiska M. Malinowskiego i T. Nocznickiego, chłopskie nazwiska znane z późniejszego ruchu zaraniańskiego. Poprzedzał ich M. Brzeziński, syn niezamożnych mieszczan z Pragi, o którym biograf jego mówi: „pokochał przyrodę i przygnał do ludu”. Wiele podobnych przykładów przylgnięcia do ludu można by przytoczyć. Nie sposób nie wspomnieć też o Irenie Kosmowskiej i J. Gwidzie Dziubińskiej, które choć z ludu nie pochodziły poczuły się jego córami i stały się bojowniczkami o jego sprawę.

W ówczesnej dobie niepodobieństwem było, aby chłop zasiadał w kierowniczych instytucjach oświatowo-kulturalnych, gdyż dopiero uczył się czytania i pisania z elementarza K. Promyka.

Nazwa instytucji o przymiotniku „ludowy” wskazywała, że instytucja chce służyć sprawie oświecania ludu. Zanim rozwinęła się praca instytucji oświatowych, poprzedziły ją prywatne wysiłki filantropów. Jednostkowy

trud i bogate doświadczenia pracy z ludem urastały niekiedy do poważnych instytucji. Dzieło J. Dziubińskiej zapoczątkowane we wsi Chwaliboskie (woj. kieleckie) po przez dziesięciodniowe kursy pszczenińskie-ogrodnicze wyrosło w szkołę rolniczą do dziś niedorównaną. Często trud jednostki nie przekraczał jednego życia i ginał bez pamięci w potopie ciemnoty ludowej.

Dzięki piarstwu Żeromskiego zachowała się do dziś pamięć zmagania dr. Nowickiego w Nałęczowie. Nie zinstytucjonalizowana nie miała mocy na przetrwanie mimo, że była pożyteczną i ciekawą. Karta oświaty ludowej pisała się jeszcze pod koniec XIX w. pojedynczymi wycieczkami zrodzonymi w szlacheckich umysłach. Stopniowo przechodziła ona coraz powszechniej w formy instytucyjne. Osobną kartę w dziejach oświaty ludowej ma dzieło K. Promyka nazwiskiem Konrad Prószyński. Był to syn podupadłego materialnie szlachcica. Podjął on przeorywanie „niwy odłogiem leżącej” — jak nazwał lud.

W 1875 r. wydał elementarz dla ludu, który drukowała „Gazeta Świąteczna”. W 1874 r. przez dłuższy czas był na wsi na terenie byłego Królestwa Polskiego. Pobyt ten sam nazywa swoim pierwszym dłuższym pobytom na wsi polskiej. Przekonał się tam, że w całej wsi nikt nie umie czytać. Pzerażony smutną rzeczywistością wypowiedział jej walke, rozpoczynając od nauczania, co chętniejszej młodzieży. Nie mogąc znaleźć wśród wydawnictw polskich elementarza odpowiedniego dla ludu, sam zabrał się do dzieła stworzenia książki, uczącej lud wiejski techniki czytania i pisania. Młodzieńcem porywem kierowany pragnął całą wieś bez reszty, młodych i starych nauczyć czytania i pisania. W tym celu wyjechał K. Promyk u właścicieli budynku folwarcznego szczytowa ścianę obok której wiodła droga do kościoła i na ścianie tej jaskrawymi farbami wymalował alfabet, kilka najprostszych wyrazów i kombinacji sylabowych. Gdy w dni świąteczne pod ścianą zjawiali się większe gromady ludzkie, ze zdziwieniem pokazujące sobie cudaczne znaki ukazywał się z tyżką w dłoni Promyk i rozpoczynała się ta jedyna w swoim rodzaju lekcja.

Choć uwiecznił się w pamięci K. Promyka jako „cudak” metody, dał jednak wzór elementarza obrazkowego dla ludu za którym łatwiej mogły wychodzić inne bardziej złożone treści i w formie.

Metoda Promyka jest typowa dla pracy

oświatowej XIX w. Typowość jej wywodzi się stąd, że zrodziła się przez bezpośrednie obcowanie i wspólne mieszkanie inteligenta z chłopem, w jego wsiowej chacie. Tak wędrowała do pracy z ludem J. Dziubińska, tak szedł Duleba, Chmielewski, a pierwszy bodajże M. Brzeziński.

Obok sporadycznie pojawiających się form jednostkowej pracy oświatowej z ludem i nad ludem, akcję oświatowej działalności rozwijały różne towarzystwa i związki.

Sam Promyk-Prószyński w roku wydania swojego elementarza spowodował założenie „Towarzystwa Oświaty Narodowej” w którego celach ideowych brzmiało: „My dąbali o to, aby siła naszego narodu była jak można największa, zespaliśmy się z sobą w celu wspólnego działania ku podniesieniu oświaty wśród ogółu”...

Z nadzrędną ideą narodu, „ogół” występował na pierwszym planie działania kulturalników XIX w.

Nie określony „ogół” w którym inteligent, piastujący lud, widział siebie, wyznaczał drogę społecznego i kulturalnego awansu mas ludowych.

Nie rzeczywista klasa, czy grupa społeczna, mająca swoje określone miejsce w narodzie, ale „bezpostaciowy” „ogół” był tą sferą społeczno-kulturalną do której kulturalnicy XIX w. prowadzili lud.

Przyjaciel i uczeń K. Promyka M. Brzeziński określając pracę inteligencji nad ludem w „Głosie” pisał: „Można oddziaływać na lud bezpośrednio słowem, czynem, przykładem, zachętą, wszystkim, co może społecznie moralnie i umysłowo podnieść”.

Za wskazaniem tymi powstające związki i towarzystwa ludowe wysyłały studentów do chat wiejskich, na stragany jarmarczne, do nor stróżów wielkich miast.

„Prowadzili gorące rozprawy i narady zbierałi skromne fundusze na wydawanie książek ludowych pisali je, wydawali i rozrzucałi między lud”. Tak wspomina po latach pracę oświatową okresu omawianego pismo „Zaranie” (1911 r. Nr 5).

Była to metoda bardzo znamienita dla okresu stawiającego na czoło wychowanie człowieka „wielkiego serca” i „wzniosłego ducha”. Wpływ osobisty „kapłanów kultury” na pobudzanie „duchowego życia” drzemające

go chłopu stawał się warunkiem pierwszym i nieodzownym.

Przykładem, rozmową, radą, pouczeniem o rzeczach pierwszych zdobywał sobie inteligent przewodnictwo duchowe ludu.

Oprócz wymienionych już w artykule J. A. Króla podhalańskich „krynicy wzniosłego życia duchowego” skromniejszy może, lecz wzorowany na tamtych był w Królestwie Kongresowym ośrodek Nałęczowa.

Żeromski, Prus i ich przyjaciele literaci w oparciu o dr. Nowickiego będącego od 1878 roku dzierżawcą pałacu i parku w którym założył lecznicę, zorganizowali Towarzystwo pod nazwą „Światło”. Lata 1905-1906 ujawniły że „Światło” w Nałęczowie było oddziałem Towarzystwa Oświatowego pod tą samą nazwą w Lublinie inspirowanego i kierowanego przez socjalistyczny ruch od Warszawy idący.

W przeciwnieństwie do form działania oświatowego Witkiewicza na Podhalu, Nałęczów staje się ośrodkiem ogniskującym formy pracy oświatowej siłami stowarzyszonych — rezydentów pisarzy, doktorów z chłopami i wyrobnikami Nałęczowa i okolic. Ich staraniem powstaje szkoła elementarna, ochronka dla dzieci, dom ludowy z świetlicą, biblioteka i czytelnia, kasa Stefczyka, a później w Polsce już niepodległej szkoła spółdzielcza.

Przykład Nałęczowa, a później praca J. Dziubińskiej twórczyni szkół rolniczych 11-to miesięcznych, postawa Ireny Kosmowskiej wtopionej całkowicie w ideologię chłopskiego ruchu ludowego i nie bez wpływu osobistego na tę ideologię, poucza, że forma i treść pracy oświatowej wśród chłopów w byłym Królestwie Kongresowym przebiegała i kształtowała się nieco inaczej aniżeli w Galicji.

Na terenie Królestwa Kongresowego powstały szkoły rolnicze dla chłopców i dziewcząt, pierwsze instytucje oświatowe z udziałem mas ludowych choć długo jeszcze pozostające pod kierownictwem byłych ziemian i ziemianek. W szkołach tych postawiona została równomierne sprawa nauczania w przedmiotach ogólnych i w zawodzie rolniczym. Wychowanie człowieka szło już w tych instytucjach drogą nie tylko „uwzniosień ducha”, lecz pracy ręcznej i fizycznej pracy gospodarczej.

Wiek XIX dopracował się też w pracy nad ludem, metody popularyzacji wiedzy naukowej. Wzór daje we Lwowie Brzeziński, Wyslouchow, Faustyna, Morzycka w Kongresówce, choćby nawet wzmiankowana już Irena Kosmowska.

Do dziś pracująca w dziedzinie oświaty pozaszkolnej prof. H. Radlińska pisze o ówczesnych wydawnictwach dla ludu: „Książeczki idące między lud mają otwierać im oczy na świat i budzić śpiące potęgi”.

Budzieliśkami tematami były obrazy wyjęte z dziejów Polski, z dawnej jej świetności i samodzielności. Historii swojego narodu uczył się lud z opisów życia wielkich królów, hetmanów, wyjątkowej, a łaskawej dla biednych ludzi królowej Jadwigi, ukazywała się czasem postać wielkiego wieszca narodu Mickiewicza w niezasobnych jeszcze bibliotekach i czytelnich dla ludu.

KOMUNIKAT

Redakcja tyg. „Wieś” wzywa wszystkich posiadaczy:

a) starych numerów pism ludowych (Wienica - Pszczółki, Zarania, Przyjaciela Ludu itp.),

b) roczników pism ludowych (najstarszych, jak również kompletów pism z okresu do 1939 roku)

c) starych kalendarzy ludowych,

d) ulotek, druków,

e) zdjęć i fotografii pisarzy chłopskich i działaczy kulturowych wiejskich,

f) pamiętników, listów, wspomnień własnych i cudzych, zwłaszcza o ile dotyczą one w jakikolwiek sposób pisarzy chłopskich,

g) ciekawych zdjęć zabytków, pamiątek — o nadsyłanie tych rzeczy na adres redakcji „Wieś” — Łódź, Piotrkowska 133.

Redakcja gwarantuje zapłatę za rzeczy, które stanowią wartość dla ich posiadaczy. Ze względu na ogromną doniosłość akcji (przy redakcji powstaje ośrodek badania kultury wsi) — prosimy o uwzględnienie naszego apelu.

W OSTATNIM 27 — 28 (106 — 107) NUMERZE „WSI” Z DNIA 20 LIPCA 1947 ROKU:

Jan Aleksander Król — Inteligenckie getto chłopskie. II. Chłopski Pisarz w rocznicę manifestu lipcowego. — Eugeniusz Szyr — Warunki rozwoju przemysłu w Polsce. Stanisław Nędza - Kubiniec. — Janosik (fragment III pieśni). — Jan Baulewski — Pedagogika Społeczna. — Andrzej Skupień-Florek — Pod zaborem Austrii, Biały Dunajec, Zdzisław Skwarczyński — Chłop i sprawa chłopstwa, w powieści XVIII wieku, Helena Brodowska — Oświata dla ludu u schyłku XIX wieku. — Anna Kamińska — Wieszniaczka (wiersz), Stanisław Pietał — Zabawa niewolników (wiersz), Stanisław Turczyn — Dno. Stanisław St. Gębala — Pięćdziesiąty pierwszy robotnik (fragment). Henryk Syska — Od „Kmiotka do Zarania”. — Tadeusz Orlewicz — Odludnienie wsi, Józef Kapuściński — Reportaż. — Klemens Oleksik — Ballada leśna (wiersz). Sprawozdanie od ucznia zjazdu — 29 ilustracji. Podziękowania. depesze i listy. Komunikaty. — Ogłoszenia. — 16 stron.

Tadeusz Muras

K R Z Y W D A

Matka moja z jednej włóki posagu nie dostała wcale

Na wielką prośbę pół roku wolno jej było jeszcze w domu zostać.

Babka uporeczywie powtarzała te same słowa:

— Ja dziadów w domu dłużej trzymać nie chcę!

Gospodarskiego syna mogłaś przecie dostać.

Ojciec służącym był we wsi od szesnastu lat

i krzywdy tym razem nie odczuł tak gorzko jak matka,

— Pracował będę, wyżyjemy przecie.

Nie płacz tak bardzo, uspokój się — Mańka! —

Wreszcie wyczerpał się półroczny termin. W ten dzień

dwie miski na ogród wyleciały kołem.

Z rozdartej pierzyny kury przestrachem wydmuchnęły resztę piór.

Przekleństwa babki gromady ludzi wywołały z chałup.

Ojciec w białą płachtę rzeczy zebrał szybko.

Na drodze matka w róg chusci zaplakała mocniej.

Przez jej ramię widziałem, jak ojciec

jakiś twardy upór cicho sobie przyrzekł...

Wyszliśmy bezpowrotnie.

Psi jazgot szedł długo za nami wzdłuż sztachet.

I odtąd żyliśmy na obcych zupełnie wioskach.

Ojciec budował chłopem całe domy nowe.

Matka do żniwa wychodziła rano,

Ja długo płacz na szybach rozcierałem mokry,

dopiero przyniesionym podwieczorkiem uciszałi mnie na noc.

A później narosło nas dużo rodzeństwa.

Do domu wnosiliśmy coraz nową radość.

Dawnej wsi rodzinnej nikt z nas nie pamiętał

tylko ojciec, nawet z dobrych żartów, jakoś się nigdy nie śmiał.

A teraz z reformy rolnej mamy trzy hektary własnej ziemi,

Co rok ojciec w pożyczone konie jeszcze orze,

ale siostry moje są już panny duże —

niedługo wyjdą zamąż, a każda z nich ma inny zawód.

Młodszy brat na Zachodzie dobrą pracę dostał,

a ja, gdy ze szkoły jadę do nich na wieś,

Spodziewam się u ojca zobaczyć jeszcze prawdziwą radość.



Fragm. ze sceny pożegnalnej Zjazdu rytwiańskiego

*) Patrz „Wieś” Nr 27—28.

Podajemy fragment sztuki, nagrodzonej na konkursie (II nagroda). Autorem jej jest Roman Bubiec, sztuka nosi tytuł: „Leluje z białej izby”.
Redakcja

AKT II

MATKA: (w izbie przez okno) Co fciecie odemnie? Cy je poprzywiązuję do łańcuchów? Chodź, jak inse.

GRÓBARKA: (za sceną do okna) Mówię wam, że jak jesteście roz zachodzą na polu, to poprzącać, Pedziałem już roz, co byście trzymali je zamknięte.

MATKA: Ka bedem trzymała? GRÓBARKA: Trzymaj se w chałupie, a na mój owies nie puszczaj. Jak im żyć nie dajesz, to leżom do cudzego.

MATKA: (wychylając się z okna coraz więcej) Jo im żyć nie daje?!

GRÓBARKA: Bajako.

MATKA: Jo! GRÓBARKA: Ty, ty, skapisz dło kurów, co byś winicy uspyrła do pończochy, skapituro.

MATKA: Ty weredo zabrać, wciub nos w brudne gacie swego chłopca, a mojej pończochy nie ruszaj. Widzicie, daje mi, co tak cholofa. Ty weredo weredecno!

GRÓBARKA: Stul pyski!

AGNIESZKA: (za sceną do Gróbarki) Hej, co wam to? O co się wadzicie, aż probosc oknem wyglądo. Uspokójcie się. (do Matki przez okno) Zaraz ku wam idę kumosiu.

MATKA: (do Agnieszki) Pódźcie, pódźcie. (do Gróbarki) Patrzcie, będzie mi tu kawałko co mom cynić? Dziadula, jak swojom krowe, to pusca na mojom łake, a o kury telo sie dre. Bier się do roboty działo, nie próżnuj! (zatrząskuje okno).

SCENA II

AGNIESZKA: (ubrana na ciemno, wchodząc) Niech będzie pokwalony. Dejcie pokój nie psujcie se krwi. Skoda radzić.

MATKA: Wyzwała mnie od bele jakik. A co to jo sroce spod ogóna wylazła?

AGNIESZKA: Dejcie pokój. Cy to takie ważne?

MATKA: Jako nie, ważne? No wicie, wicie. To jo zacyno, jo puscam kury specjalnie na jej pole?

AGNIESZKA: Kumosiu, pedom to takie ważne? Dziejom się rzeczy, że cud pański i nik takich cholofów nie wyprawio.

MATKA: Bo mi dozarła do żywego, bo mie ukrzywdziła.

AGNIESZKA: A mie?

MATKA: Co wam?

AGNIESZKA: A mie jak dozarli, jakim krzywdę uczynili? Zabrali, sponiewirali, zabili mego synacka. Ostałam samiućka. Fto mojem krzywdę wynadgrodzi? Fto wróci życie Ludwikowi? I wam nie wstyd wydziwić teło o kury, o zwykłe ptaki bez dusy?

MATKA: (zmieszana) Jo nie zacena.

AGNIESZKA: Ustąpcie. Nie swarujcie się. Nom trza zgody, jedności. Jak nimo zgody we wsi, nimo jej w gminie, w narodzie, w państwie.

MATKA: (patrzy zdumiona) Coście się tak politycko zrobili?

AGNIESZKA: Ni politycko, ni, ino kie zabili Niemce w obozie Ludwika, tak pomyślałam, że to bez nienawisć. Bez nienawisć zdrójców posej w ręce oprawców. Bez nienawisć zginon. Nom trza się miłować, sanować, trza się jednoczyć, naprowić syćko złe. My chłopcy nie som głupie, ino nie oświecone.

MATKA: (malutko) Jo nie zacena.

AGNIESZKA: Ustąpcie. Nie swarujcie się. Nom trza zgody, jedności. Jak nimo zgody we wsi, nimo jej w gminie, w narodzie, w państwie.

MATKA: (patrzy jak na wariata) Kumosiu, niesłyszane rzeczy! Co godocie?

AGNIESZKA: Patrzyćcie cy mi mózgiem ruszyło? Ni. Zrobiem to, com pedziała.

MATKA: Toć to syćko mało. Ka by sie teło chłopów uczyło za was majątek?

AGNIESZKA: Mało nie mało. Gmina dopomoze, państwo dopomoze i nase Olcysko będzie miało samyk Salamonów. Tak być powinno kumosiu. Musi być tyn pirsy, co zacyno. Sami sobie pomozemy, my chłopcy!

MATKA: (wolno powtarza) Sami pomozemy. Sa-mo-po-moc chłopów. Wicie kumosiu, kielosćie mondro co cud!

SCENA III

OJCIEC: (wchodzi z złożonym afiszem w ręce) Matka, przypatrz się. A jest i krzesno, witojcie. Przypatrzcie się baby, tylko wolnućko, co byście się nie ozpucyli. (rozwijając afisz, Matka i Agnieszka podchodzą ciekawie).

MATKA: Cóż to?

OJCIEC: Nas rząd, polski rząd daje chłopom ziemi.

AGNIESZKA: Jezu Nazareński! Nie godom? Jo dałam i rząd daje, to będzie w Olcy szkoła! Dwie, trzy. Na każdym wircu! Lecz do sołtysa. Ostońcie z Bogiem. (wybiega).

SCENA IV

OJCIEC: Panie Boze prowadź. Co się jej stało? Wyleciała, kieby jej fto pieprzu nasypoli. (kładzie afisz na stole).

MATKA: A to jo sie swarzyłam z Gróbarzem o nase kury...

OJCIEC: Wim, jo jus wim. Ale co Agnieszka?

MATKA: No toć włośnie ona mi pedziała, że to telo worce, co i nic. Calućki majątek zapisuje dło chłopów, na szkoły w Olcy, co byśmy się nie wadzili, swarowali, ino jednocyli do kupy i ucyli.

OJCIEC: Kazdo baba swój rozum mo, ale ta mo chyba go nojwinicy. Pięknie, pięknie.

Roman Bubiec

Leluje z białej izby

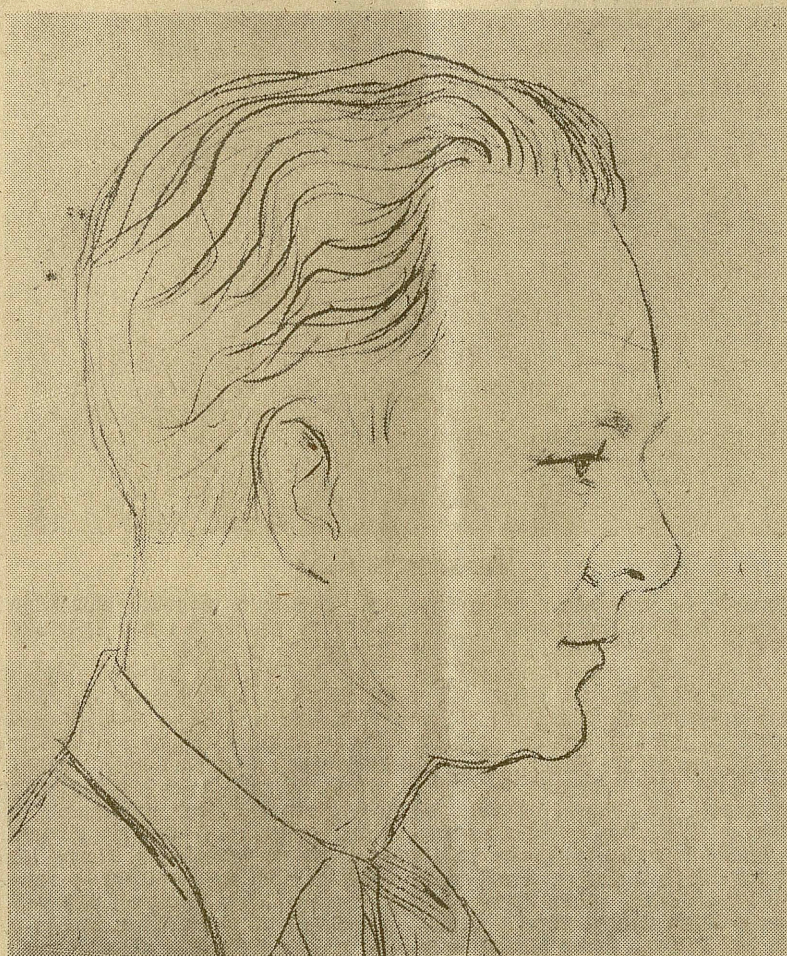
Dej Boze takich winicy. (pokazuje na afisz). A ty co na to?

MATKA: Tam w dole, na nizina, to dobre. Ale coż my tu w górak dostaniemy? Gróbarce ujmom, a nom przycyniom? No jako to będzie?

OJCIEC: Nom nie trza. Starcy tego co momy. Jus sie nie trop. Tamuj w rządzie som tacy, co syćko ułożyli, ho, ho!

MATKA: To nom ubierom, a Gróbarce da-dzom, no bo jako?

OJCIEC: Słuchoj matka, jak Agnieszka pobuduje szkołę, to sie pirszo zapis, co byś nie była tako głupio.



Roman Bubiec

rys. Stanisław Ciełoch

SCENA V

(za sceną dzieci śpiewają chórem piosenkę żołnierską. Słychać głos Karolci jak dyryguje: trzy, cztery).

OJCIEC: (pokazuje ruchem głowy) Słyszysz? MATKA: No. Przyuczyła ik. A w kościele na raniej tak zaśpiewały, że tym starym kwokom wstyd się zrobiło. Mo dzieucha spryt.

OJCIEC: Oj mo. A coż z tego? Pracuję w domu, w polu, z dziećkami w ochronce, a dło siebie nic. Zoda muzyka, zoda tońce, zabawa jom nie obchodź.

MATKA: Jo ci godom, że to zol po Jedrzu. Zawiod jom. Pracowała w konspiracji dło Bryndzy, choćki go nie znała, co by zabić gądzinę w sercu. A teraz jesteście winicy pracuje, kie Jedrek przepod bez śladu.

OJCIEC: Pewnie uciek z Niemcami. No bo jako? Przecie go nie zabili?

MATKA: Moze. (śpiew dzieci coraz głośniejszy i znowu: trzy, cztery — dyrygując Karolci, za chwilę staje we drzwiach z dziećmi, reszta w głębi).

KAROLCIA: (z uśmiechem) Trzy, cztery. (zaczynają dowolną piosenkę). Dość, dość! (klaszcze w dłonie). A teraz dostaniecie po kawolku kukielecki i marsz na łake! Hela, uwazuj na dzieci, jo wnet przyńde. (dzieci wychodzą z hałasem).

SCENA VI

(Karolcia nalewa mleko do kubka, kroi chleb i je siedząc na skrzyni).

OJCIEC: (po chwili) Karolcia? (pokazuje na afisz leżący na stole) Coż ty na to?

KAROLCIA: przez stół z kubkiem w reku) Skąd to macie? (czyta głośno) „Rząd daje ziemię chłopom”. Skąd to macie?

OJCIEC: Z poćty, z polskim znoćkiem.

KAROLCIA: Z poćty? To wy dostajecie sami te ogłoszenia tatusiu? Od kiedy?

OJCIEC: (nie spiesząc się wyjmując z kieszeni listy w kopertach) I to tyn. Pooglondoj sobie co byś wiedziała, jak to u nös jest. Nie trzeba było rzucić pracy, kie zacenaś. Jo musioćko kończyć.

KAROLCIA: (przegląda szybko listy, czytając same nagłówki i podpisy). Tatuśku i wy tyn? Nic nie wiedziałam o was. (czyta). „Do obywatela Stanisława Gawlaka w Olcy. Z dniem dzisiejszym powierzam obywatelowi organizowanie naszych placówek na terenie powiatu nowotarskiego”. Boze, Boze! (czyta) „Obywatel Stanisław... W imieniu Zarządu głównego zapraszam obywatela na zjazd okręgowy do Krakowa, który odbędzie się... Obywatel Stanisław Gawlak... (przerzuca listy).

MATKA: (przerzuca) Hej, gazda, niedługo ostanies ministrem, a fto będzie w polu oroi i siol, he?

OJCIEC: (pokazuje na listy) Nie bój się. Tu ciężko orozom i bronujom, a som ministrami. Hej, matka, polec do sołtysa, co by war-

ciutko zwoiło chłopów na radę do Kółka (bierz z rąk Karolci listy). Cas dziać. Dość tego pierdzynio w czterech ścianach bez telo roków. (do matki). Lecz mamusia, co galy wywalos jak księżowskie ciele. Jo tu mom do pogadania z Karolciom.

MATKA: Cy cie gazdo ciert opętoł na stare lata?

OJCIEC: Nie stary jestem, ino młody, dopiro teraz, wis? Młody, Parobek. Popotrz! (przeskakując ławę) Widzisz, zacynom żyć. Ciek kisiol bez tele roków, kapiol, grzeboł sie w ziemi i co sie z tego miało? Nic. Telo co z garzci zyl, na pępek patroz i starzoł sie kie

OJCIEC: I ona go tyn nie znała, nie wi fto ón. Bryndza i jus. 102 rozkazy to dziwce wypętiło, syćka dobrze. Teraz godocicie swoje.

NAUCZYCIEL: Jestem z największym podziwem dla ciebie Karolciu, i uznaniem. Nie wiedziałem, że wychowam sobie uczennicę, z którą teraz przyjdzie mi razem pracować społecznie, bo właśnie w tej sprawie przyszłednem. Po drodze spotkałem waszą żonę, która nie biegła, ale fruwała poprostu, z listem do sołtysa. To od samego ministra do mojego chłopca — krzyknęła mnie nad uchem. To mnie wielce zdumiało. Czy macie jakieś dyrektywy i od kogo?

OJCIEC: Eh panie kierowniku, co tu dużo godać. My chłopcy momy polecenie iść jednomp kupom. Syćka. Krapke sie przed tym robiło po dobremu to tu, to tam, ciek sie pozacepiol o insyk, mądrzejsyk, no i teraz trza...

NAUCZYCIEL: No dobrze, ale dlaczego nie zwróciście się do nas, nauczycieli?

OJCIEC: Abo my ta wiemy, panie kierowniku, coście byli za jedne? Przeprosom was pięknie, ale my tu same chłopcy, a wy panowie, nauczyciele, to...

NAUCZYCIEL: (przerzucając) Co za „to”? Jacy „panowie”? Przecież i wy tam, skąd idą polecenia, macie takich samych jak ja, czy moi koledzy ludzi. I to nie są żadni panowie. Wy jesteście takim samym panem na swoim gospodarstwie, jak ja i inni na swoim.

OJCIEC: No tak panie kierowniku, ale...

NAUCZYCIEL (przerzucając) Żadne „ale”.

OJCIEC: Panie kierowniku...

NAUCZYCIEL: Obywatel.

OJCIEC: He?

NAUCZYCIEL: Obywatel kierownik, jeżeli chcecie koniecznie tytułować. Mówi się obywatel teraz.

OJCIEC: Niek cie pokreć... o... przeprosom. Eeee, boście mi tak głowę skołowali, że sie zatracilem.

NAUCZYCIEL: Nie szkodzi, to nie ma nic do rzeczy. (śmieje się).

KAROLCIA: Tato, nasa szkoła tyn jest snami.

OJCIEC: Jako to?

NAUCZYCIEL: No tak. Karolcia powiedziała prawdę.

OJCIEC: To niby mo znoczyć, że chłop, że jo...

NAUCZYCIEL: Że wy chłop i ja chłop, to dwa chłopcy, a te dwa chłopcy robią tak, jak jeden chłop. (wyciąga ręce).

OJCIEC: Panie kierowniku!! (powoli podaje swoje niedowierzające).

NAUCZYCIEL: Obywatel.

OJCIEC: Panie obywatelu, tfu... psio mać bestjałsko... (kierownik się śmieje). Karolciu, bij w łeb ojca, bo mi rozum ucieko, aie teraz z radości.

KAROLCIA: (patrzając na trzymających się za ręce) Tatuśku, godoliście o tyn rękach. Popotrzcie się, przybywo wam coraz winicy gorzci do pracy.

NAUCZYCIEL: (opuszcza ręce) Więc będziemy razem pracować społecznie.

OJCIEC: Sołtys zbiera chłopów w Kółku dzisiok i będziemy ukwalować. Przyńdziecie kierownikowi?

NAUCZYCIEL: Naturalnie. I wszyscy nauczyciele. Do zobaczenia. (chce wychodzić, ale spostrzegając kogoś za oknem) Ktoś przez okno zagłada do was.

KAROLCIA: (podbiega do okna) To Gróbarka.

OJCIEC: Cego to fce? Pewnikiem nose kury znova włoży na jej pole.

KAROLCIA: Pockojcie ojce, ona cośi mówi.

OJCIEC: To niek wendzie.

KAROLCIA: (głośno) Pódźcie haw. Nie fce (otwiera okno).

SCENA IX

GRÓBARKA: (przez okno) Nimo matki?

OJCIEC: Ni. Co fciecie? Wleście do izby.

GRÓBARKA: E, jak matki nimo, to jus nic.

OJCIEC: Znowaś nose kurzyńska włoży wam do owsa?

GRÓBARKA: Ni, ino powiedzcie swojej, co by sie no mnie nie gniwoła.

OJCIEC: Coż ta nowego?

GRÓBARKA: Swarzyłyśmy się. Jo na niom nawarcala kie cud, bo w pysku krzepotom. Słuchojcie, powiedzcie jej, że odsekujecie to syćko. Dło tego do izby nie wendem.

OJCIEC: Cud prze Pana Boga! Gróbarka przysła w przeprosiny!

GRÓBARKA: Abo cud. Tak mie to dziubalo we wnętrzu, zem sie ledwo obstać mogła. Kury wlezyły, ale jo kufe krapke za wiele ozpuściła. A ona mi kiedyś kukieleckie białom dała. Powiedzcie jej to (zamyka okno od zewnątrz).

SCENA X

NAUCZYCIEL: To bardzo ładnie z jej strony. Nigdy nie spodziewałem się takiego serdecznego odruchu. No i żalu. (Ojciec kręci głową). Słuchajcie, to dobry dla nas znak. Zgoda jest naszą podwalnią, zgoda i jedność. (za sceną dzieci śpiewają: „Nie noszą lampasów, lecz szary ich strój, nie noszą ni srebra, ni złota, lecz w pierwszych szeregach podają na bój, piechota, piechota, piechota”).

Co to za chór?

KAROLCIA: To jo dzieci z ochronki przyucyliam. (podbiega do okna) Idom po mnie. To tak zowse, kie sie nimogom docekać, wendrujom tu pod chałupę i maserujemy na łaki, na zabawe.

NAUCZYCIEL: Jeszcze jeden radosny objaw. Karolciu, ty jesteś nieoceniona. (za sceną dzieci śpiewają: „Maszerują chłopcy, maszerują, śmierć za nimi idzie raz, dwa, trzy. A przed nimi drzewa salutują, bo za naszą Polskę idą w bój”).

KAROLCIA: (dyrygując) Trzy cztery. (śpiewa) A przed nimi drzewa salutują, bo za naszą Polskę idą w bój!

KONIEC AKTU II.

Stanisław Witowski

rys. Stanisław Cieloch

Z pamiętnika wiejskiego nauczyciela

I.
I już po świętach, które przy chłodnej pogodzie spędziłem w domu. Grunt jednak, że byłem nie głodny. W ostatniej chwili kapitan Jermaków polecił nam wydać u Kręcika po kilo kiełbasy i coś niecoś z głowizny... Siostri nadto upiekła placek — na żurku, gdyż nie można kupić drożdży. Osobliwy smak miało ciasto — kwaśne jakieś. Wolałem już chleb, którego także mamy świeży bochen, przy tym jajek kilkanaście. Wszystkich przyniosły dzieci ponad sześćdziesiąt. Niewiele, o w porównaniu z księdzem, który także już jest w Łabęcinie. Kobieta, która zamiata szkołę, a ma brata kościelnym, opowiada, że proboszczowi — bez wzmianki z jego strony — naniesiono jajek dwie pełne „kipy” — czyli dwuoszne wysokie kosze. Masła nadto kilkadziesiąt klepek... Niestety — nie podzielił się nawet z organistą, co dopiero z kościelnym...

Nauczyciel, jak widzę, nadal z księdzem porównania nie wytrzymuje — podobnie jak przed wojną. Mniejsza, że ich mniej od nas wyginęło — każda parafia w okolicy ma już swego proboszcza, zaś ile szkół stoi bez nauczycieli?... Mniejsza o wcale nie dłuższe lata nauki, lżejszą i krótszą „pracę” — (czyż pracą zresztą mszę świętą nazwać można?) — kilkanaście morgów przy każdym kościele — ludzie nadal wyżej cenią księdza, choć ich obciąża — niemal dosłownie ze skóry. Msza święta zwykła — trzysta złotych, śpiewana — pięćset... Sprawy zaś religijne tyle ich obchodzą, że nasz jeszcze do szkoły nie zajrzał i pewnie nie wstąpi, wymawiając się niezdrowiem, mimo, że wygląda jak pączek różowy — młody, okrągłutki jak panienka na twarzy. Ja przy nim, to trupia głowa, w ogóle chudeusz.

Doprawdy — nauczycielstwo, to poświęcenie w obecnych warunkach. Zaś oni na co się poświęcają? Wygląda, że na dobry byt.

Bo weźmy ściśle — co taki proboszcz cały dzień robi w porównaniu z nauczycielem? Rażno odprawi — nie się nie męcząc, nie przygotowując — mszę i po śniadaniu siedzi cały dzień w domu, wyglądając na obiad, potem na kolację... Do chorego jeżeli wyjedzie, to nie częściej niż raz w miesiącu. Nie częściej wypada pogrzeb — grubo zresztą płatny, podobnie ślub. I to jest praca, tak zwana służba boża? Według mnie — jest to bezprzekładne leniwość, a tak, zwane powołanie, to myśl o łatwym, dostatnim chlebie i o dostępnej dla najępszego nauce. Bo odśpiewania, przesyłabizowania mszy, nauczył by się przez lat pięć i analfabeta — co dopiero spyciarz, widzący w końcu bezkresną emeryturę, od młodości zaczynający się „wycug” — łaskawy chleb. Według mego zdania — na księżę idą najwięcej egości — tak z ich zachowania się wynika. Dziwnie mi tylko, że wieś nie sprostęła tego — nowego rodzaju pańszczyzny i potulnie słucha księdza — dzieci, wielbi go, chociaż ten — często sam spod strzechy rodem — z chłopką i ma go w głębi duszy za nic — właśnie za głupotę chłopską, która jak ślepiec dobrowolnie, nie widzi sama wokoło siebie Boga, cudów nadoł w przyrodzie — woli o niebie i piekle bajki — zupełnie jak dziecko. Doprawdy — za chłopów mi wystyd — mniejsza już o „ba-by” — idące zawsze tam, kędy je, niby kury, gospodyni popędzi.

Wstyd mnie za was chłopcy. Bo żeby to mieszczuchy nie widząc horyzontu, wolnego nieba, ale wy — całe dnie i noce niemal mający oczy, uszy ku Bogu, przestrzenie otwarte... Toć i ja sam chłop, nawet niewiele oświecony w mieście, a przejrzałem i dziś widzę Boga tak potężnego, o jakim wy, nawet księża, nawet papież, wyobrażenia nie macie.

Pomyślcie — jeden atomik, a jaka potęga — zaś z ilu atomów spaja się wszechświat — bezgraniczny? Atom zaś sam jest niewidzialny i kto wie, czy w nim — cząstkowo — nie tkwi — zgodą na to, że niewidzialny — Bóg... Czyż to samo podziwu nie godne, że przełmoty widzialne składają się z kruszyn niewidzialnych? Jest to niby ziarno zmielone w świetlisty pył...

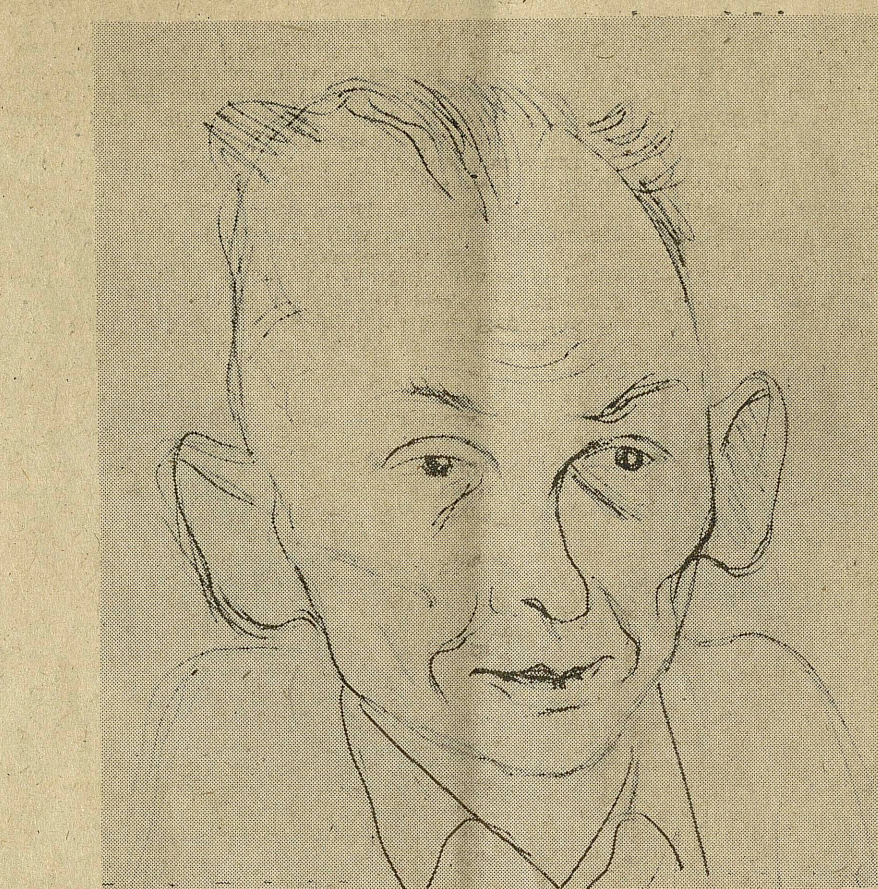
Gdzie Twój początek i koniec, o Boże? Czym Twa istota? O jakieś blisko nas i jak daleko! Ile Ciebie mieści w sobie ludzkie serce — dotąd śpiące — ile potęgi nieświadomej, jeżeli taki wybuch, ogień, światło, spowodować potrafi niewidzialna odrobinka uranu...

Tęsknię do czynu wielkiego, rozlania strugi ognia, a muszę się rozmięniać, zdzierać, niszczyć na uczenie liter dzieci i to niechętnie widziany przez mego kierownika, księdza, ludzi, którzy mnie mają za... podejrzanego, że co niedziela do kościoła nie chodzę, jak pan Radczak, żeby z rzeźnikiem pogawędzić w zakrystii. Jak pani Radczakowa, żeby wyszydząć przed nią idących, a mniej zamożnych od niej... Jak dziewczyny, idące dla kawalerów, kawalerowie dla panien — przegladu niedzielnych strojów... Kościołem moim jesteś ty — obszarze widnokręgów.

II.

Załatwiwszy się z „niebem” odruchowo, wracam do ziemi — ściślej — do Jarzębnik i onych spraw — także mych osobistych. Otóż wczoraj przeżyliśmy zdarzenie, które na prawdę posłało trwogę, niepokoje — nawet we mnie. A oto, co się stało.

Był już dobry zmrok, gdy pani Radczakowa wpadła do nas przerażona z wiadomością, że chłopcy ujrzeni grupę żołnierzy niemieckich w parku — z bronią i z psami... —



Stanisław Witowski

Którzy chłopcy? — zapytałem zdumiony. — Ano z koszar: Maków, Kielskiego i jeszcze któryś. Udali się przed zachodem między świerki, a tam owi stoją z karabinami w ręku, jakby na coś przygotowani, czegoś oczekujący... Mąż natychmiast pobiegł do gminy z zawiadomieniem, oni wszyscy się pozamykali — nawet okiennice, ale mimo to drzy — było zresztą widać, gdy spojrzano na nasze bez okiennic szyby, za którymi czerniał już późny wieczór. — Wójtowie, także się zamknęli. Co to będzie teraz?... Męża nie widać, ni żołnierzy rosyjskich z gminy, a oni może już pod drzwiami podchodzą, rzucą przez okno granat — wszystkich zabiją, zapalą dwór... O, ktoś idzie pod ścianą... Jezus Maria! — uśladła nagle. — Zgasić światło! Prędko!

Wyznałem, że zdrtwiałem. — Niemcy tu? Tak daleko poza frontem? Czyżby desant z samolotów? Ciągle jakieś dudnienie i w dzień i w nocy. Wszystko być może... Sądząc po przerażeniu pani Radczakowej — położenie było naprawdę zagadkowe ze względu na zapadającą ciemność i odułdnie. Czuliśmy się w tym parku jak śród boru — z dala od wsi, żywych ludzi. Bo gdyby to było w dzień — wyszedłbym chociażby oknem, zobaczył jak sprawa wygląda. A tak — tkwił niby kot w worku. I dlaczego nikt z gminy nie przybywa, że wsi? Stchórzyliśmy wszyscy?

— Dawno ich widzieli ci chłopcy? — pytałem już po ciemku panią Radczakową. — Przed wieczorem — wybiekowała, siedząc nieruchomo — zdaje się — na podłodze. — Niech pani też usiądzie — ciągnęła siostrę. Ona straciła całkiem głowę. Milczała jeszcze z zaskoczenia, sparaliżowana przez strach. W istocie, było czego się lękać, zwłaszcza w tej ciemności, w jakiej przedstawiała wypadki pani Radczakowa. Chcąc je rozjaśnić trochę, pytałem dalej:

— I na pewno byli to Niemcy? Jak ubrani? Karabiny naprawdę trzymali w ręku? I skąd te czarne psy przy nich? Z samolotu? — zacząłem niedowierzać, znając kobiecą przesadę.

— Tego dokładnie nie wiem. Tak opowiadał Jurkowi. Ten przybiegł zaraz do mnie, ja do męża, on natychmiast biegiem do gminy, ja do państwa... Jezus Maria — co to będzie? Męża nie widać, może go zastrzelili po drodze...

— To słysząc byłoby huk. Jak to — tak po cichu?

— A może go tylko zatrzymali w parku? Co z nim zrobią?...

— I ile tych Niemców było wszystkich?

— Pięciu czy siedmiu, nie wiem — szczerkała dalej zębami. — Nie zdążyli ich porachować — uciekli.

— Kto? Niemcy?... — próbowałem zażartować.

— Nie! Chłopcy...

I znów czekał w milczeniu, chociaż ja w dalszym ciągu rozważałem tę sprawę. Bać się bałem — przyznaję, ale patrzyłem na wszystko coraz krytyczniej z pewną niewiarą. Grało w tym może rolę pewne uprzedzenie do pani Radczakowej, że miała nas za coś gorszego od siebie — z powodu niezamożności. Ja zaś znów ja lekceważyłem za prawdziwie kurzy umysł, co stwierdził i pan Radczak, zwłaszcza zdenerwowany. Podobnie może i teraz dała się ponieść bezpodstawnej trwodze. Że tam gdzieś dzieciakom może się zdawało — wzięli za Niemców drzewne pnie w mroku... Lecz skąd te psy? — na próżno dociekałem, stojąc w ciemności nieruchomo. Po chwili jednak ruszyłem w stronę okna, mimo przestrachu pani Radczakowej. Trudno, nie mogłem tak bez końca tkwić na środku pokoju. Na dworze nie jednak nie dostrzegłem, prócz czerni parku i nad nim bladej no-

cy. Nie było w górze nawet gwiazd. Ot, wilgotna pochmurna noc kwietniowa, choć z księżycem w głębi.

Na koniec ktoś zabębnił pięścią w drzwi frontowe. Kobiety krzyknęły, pani Radczakowa wstała z ziemi... Oprzytomniałem pierwszy. — Jeżeli to Niemcy — szłoby ciszej. Po stanowilem wyjść do holu, mimo sprzeciwu kobiet. W istocie — przez drzwi już poznałem głosy żołnierzy sowieckich, objaśniających pana Radczaka. Z ulgą im otwarłem — wtoczyli się do mieszkania. Nawet pan Radczak niósł karabin na ramieniu — reszta automaty przez pierś. Wypytałem raz jeszcze — jak i co i ruszyli w kierunku zagaju opodal łazienki, gdzie ostatecznie chłopcy mieli Niemców widzieć. Pan Radczak został z karabinem pilnować dworu. Grał teraz zuchą — pijany widać trochę. Żałował głośno, że nie może wziąć udziału w obławie. Obława ciągnęła się dość długo, bo dopiero nad ranem dano nam znać, że ujęto ich w polu trzech, ale — czy Niemców? Wyglądali raczej — podobno — na Własowskich dezertów. Prawdy nikt z nas nie dowiedział się nigdy, gdyż siedzieli zamknięci w gminie, dopóki ich nie odstawiono do Bagieńca — po tygodniu. Nawet pan Radczak, mimo styczności z komendantem, żołnierzami — nie umiał nic jasnego powiedzieć w tej sprawie. Owszem, karabiny mieli, lecz psy okazały się bajką.

Najwięcej teraz do powiedzenia ma pani Radczakowa. Ja według niej okazałem się tchórzem — nawet nie wyszedłem na dwór zobaczyć, co się dzieje w nocy. No i milczałem cały czas, jak i dziś milczę, uśmiechając się najwyżej leciutko. Niech już jej mąż będzie bohaterem, ona — nawet siedząca na podłodze w mroku ze swym okrzykiem bojowym: — Jezus Maria — co to będzie teraz? Pewnie idą...

W istocie — komiczna historia, choć i smutna. Wszystko to nerwy szarpie, a co najwięcej — głupota ludzi, płytkość otoczenia. Gdyż i z panem Radczakiem nie mam o czym mówić, prócz o tym, co się widzi na parę metrów wokoło. Dziwi mnie jego nikły krąg zainteresowań. Jedynie przy kieliszku zapala się na temat swych dawniejszych przewag w nauczaniu, traktowaniu ostro ludzi. Błędnie nawet z chłopami, jak sam opowiada, chodził po sądach. Jest to realista w każdym calu, ze wszystkich umiejący ciągnąć korzyść. Podobno, od komendanta wycygnął już konia — trzyma go u brata w Czarnowie — obecnie zabiega o krowę. Synkowie po całych dniach łowią ryby w stawach, mimo zakazu pana Grzybka.

I mnie kusi wyjść z wędką — roi się bowiem od karpi w białej toni — lecz zakaz zakazem. Nadto — jakże dawać zły przykład? Poczekam zresztą na przyjaciela z Bagieńca. Obiecał mi odwiedzić, gdy tylko zrobi się zupełnie ciepło. Wtedy pojedziemy nad rzekę, stawami. Łowią chłopcy z całych czworaków, nawet ze wsi niektórzy. Mniejsza by już nawet o to, lecz oni biorą i drobiazg. W ten sposób wyniszczą wszystkie ryby. Pan Grzybek ich rozpędza, zeszedłszy, lecz oni się nikogo nie boją — podobnie jak rąbacy drzewa w parku. Coraz więcej w nim pieńków, a mniej drzew. Fiołki tylko pachną chłodno i smutnie żółcą się jaskrawo mleczem w świeżej trawie i chodzą już krowy wójta — kozy, barany objadając krzewy, drzewka, gałęzie. Oto, jak wygląda na wsi wspólny park... Smutne.

V.

Nareszcie zjawili się Frankowski. Poznaliśmy się w czasie wojny, pracując razem pod Niemcami i pod bagieńskim magistratem,

Osobliwie dodatnio wpływa na mnie jego śmiałość do góry podniesiona głowa, okazała postać, zdolność nie przejmowania się niczym i jasność myśli. Można by powiedzieć, że to chodząca uśmiechnięta proza, realność przy pewnej dobroduszości — przynajmniej w stosunku do mnie. Może dlatego tak lubię jego towarzystwo, iż to przeciwny mi biegun... Właściwie, to ja w porównaniu z nim jestem chyba równikiem, zaś najniższej — zwrotnikiem Koziorożca lub Raka. Uzupełniamy się doskonale. Chociaż samouk — można z nim o wszystkich pomówić, niczemu się nie dziwi, mężczyzna postępowy — rzekłbym — więcej ode mnie. Bo ja dla niektórych „za-bytków” mam jeszcze współczucie, sentyment, on — nie. Wytepiłby to wszystko, jak chłopcy wyrębiają park...

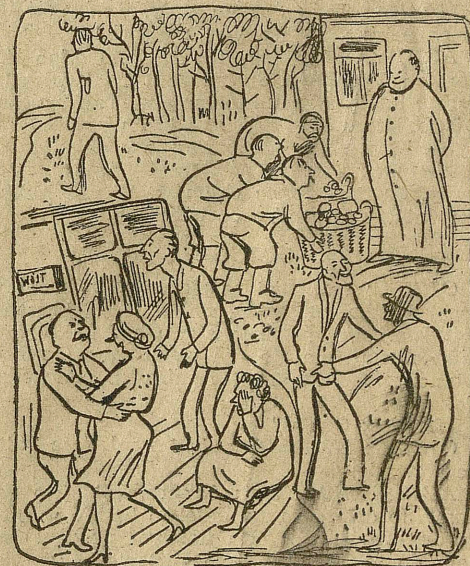
Badź co bądź — raduje mnie szczerze widok jego twarzy, uśmiechniętej pogodnie, nawet na swój sposób wyniosłej, oczu niebieskich, śmiałego zarysu nosa, szerokich barków... Przed wojną kupiec w Gdyni, obecnie także zamierzam tam powrócić, gdy tylko armaty ucichną, pomrukujące jeszcze dotąd — a że miłuje jak ja rybołówstwo — właściwie lubi ryby na półmisku...

Przydzwigał też z sobą cały sprzęt łowiecki, parę kijów. Wyglądał z tym niby Robinson... Glist nakopaliśmy w ogrodzie i dalej przed zachodem nad rzekę — parując już ciepłem, wiosną, obśladą gdzieś gdzieś rybami, zwłaszcza z podrywki. Mam jednak w pogardzie ten sprzęt. Grunt to wędka, tylko że dla mnie odstępować to nawleknięcie „rosówek” na haczyk, świadomość ich cierpienia... Pewnie z tych względów wyrzeknę się zupełnie rybołówstwa. Frankowski niech łowi — ja zaś będę łowił: zapach wody, łąk, grzechodniego nieba, muzykę ciszy, przestępni, nocy. Ach, jak mi wszystko to weszło w krew — przyroda. Nie umiałbym istnieć bez niej — szczególnie obecnie na wiosnę, gdy nie panuje niemal nad sobą. Władza mną słońce, zapach trawy, okrzyk czajki — coż mówić o księżycu i słowiku nocą. Już przyfrunęły. Nikdy czasem zabłyśnie w parku ich głos, zanim się posypią namiętne, strzeliste trele, błaganie: — Przysjdź! Przysjdź!!

Chodząc po parku wieczorem, nawet z Frankowskim, najczęściej milczę, choć myślą moje mimowoli naśladują słówka, kiedy wspomnę o Hani. Drga wówczas serce.

O wiosno — co wyprawiasz ze mną. Za wszystkich muszę odczuwać, tęsknić, być jednocześnie — myślą, widzeniem — wszędzie, gdy inni przyjemnie chrapia, zapewne całą wieść, Radczak, jak i Frankowski... Ja jeden błądząc po parku i straszę ludzi... Dziś na przykład wieczorem jakaś kobieta była się cofać na mój widok z przed dworu. Ciekawy będąc, co to za jedna, długo kroczyłem z nią w mroku. Umknęła jednak. Wtedy wróciłem na trawnik i za pomocą lampki elektrycznej sprawdziłem, że wykopywano z klombu kwiat... Rozczuliła mnie ta kradzież i pożądanie piękna... Gdyby tak było w istocie, ale wątpię — sądzę, że to jest nałóg — i jest mi smutno.

Rzeczywiście — w ludziach dworskich musiał się wyrobić „zwyczaj” zabierania wszystkiego. Pracując nie na swoim, nie mający nigdy nadto, odsuwani gwałtem od stołu — mimowoli i przez zemstę „kradli”... Dworak stał się półczłowiekiem przez warunki bytu, gdyż i pracując stale w dużej a nie moralnej gromadzie, zrobił się bezczelnym. Widziałem, jak przechodniów zaczepiali, pozwalały sobie na to nawet dziewczyny, czując się bezpieczne w „stadzie”. Zamówką było nieraz pominięte przez wędrowca z powodu sporej odległości „Szczęść Boże”. A więc obelga z tego powodu, śmiechy, chichy... Dużo ci zresztą życzenie — pomoże.



Obecnie, jeżeli reforma rolna dojdzie do skutku, każdy pracując na swoim, bardziej będzie oszczędzał czas i nie gapił się godzinami za przechodniem. Wiedząc, jak krzywdą boli, może i sam przestanie kraść — przynajmniej równemu. Chociaż... Gdy ktoś z młodości nawyknie — podobnie do prostactkich słów... Pokolenie może następne, nowe. A więc pracujemy nad nim. Tylko... Taka to niewdzięczna i samotna praca. Od kierownika nie ma żadnej rady. Gdy go przycisnąć — tłumaczy się, że sam zapomniał przez o-

(Dalszy ciąg na str. 7-ej).

Lech Budrecki

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA

Lata 70-te ubiegłego stulecia. Koniec drugiego cesarstwa, zastraszający wzrost przemysłu i ostateczny upadek resztek wątpliwej już arystokracji rezygnującej z prób odzyskania dawnego prymatu. A jednocześnie Comte zwiastuje wkroczenie ludzkości w trzeci okres dziejów, w okres pozytywny. Nowa religia naturalna ma wprowadzić świat na drogi dalszego rozwoju. „Bezustanny rozwój cywilizacji kapitalistycznej zapewni wszystkim szczęście i dobrobyt” — głoszą angielscy ekonomiści i nie znajdujący konkurenta. Jest nim Champfleury, w Niemczech niepodzielnie triumfuje Spielhagen. W Anglii pojawia się George Elliot. Aptekarz Homais może narzeczcie zarzucić Voltaire’a i encyklopedystów. Ich miejsce zajmą Spencer i Lettré. — Coraz więcej powieści coraz więcej dramatów o czułych bankierach, o szlacheckich przemysłowcach, trudniących się dzieł po dniu, by zapewnić szczęście całemu społeczeństwu. Rodzą się coraz to nowe sztuki Wiktorina Sardou, przyjmowane z naprawdę rzadkim entuzjazmem. Naprzeciw „zdegenerowanej” arystokracji stanął p. Hennebau, właściciel kopalni w późniejszym „Germinalu” Zoli. Ale to wszystko dzieje się zanim narosnie przestrasz i lęk, zanim Dubois Raymond oświadcza: „Ignoramus et ignorabimus”, zanim Świętochowski zwajpł w ideologię, która tak gwałtownie broni jeszcze dziesięć lat przed tym.

„Przepełnione rojami Żydów, brudne, rzadko gdzie brukowane...” tak rozpoczyna ks. Kalinka opis miasteczek galicyjskich. Jesteśmy bowiem teraz w Galicji. Opuściliśmy wielkie klucze folwarków ukraińskich i przenosimy się do miasteczek, a nawet do tak szanowanych miast jak Lwów czy Wilkowie. Terenem powieści Bałuckiego np. stanie się Kraków, zmienia się bohaterowie, zmienia się rekwizyty, oznajmiające czytelnikowi pojawienie się ich w kontekście. Ale kapitał przemysłu nadal nie będzie. Bankowcy, wielcy kapitaliści, okazują się czymś obcym całej atmosferze ówczesnej powieści. Zobaczymy ich raz tylko u Lamy. Podczas czyjejś rozmowy z przedstawicielem banku grecko-portugalskiego fragmentarycznie zostaną nam ukazane sposoby postępowania, jakimi zazwyczaj się posługują gieldziarze. Zresztą dzieje się to zagranicą — daleko od „Miliacji i Zandarmierii”, wpływając w bardzo znikomym stopniu na losy jej mieszkańców. Gdzie się więc podziałli realizatorzy hasła Świętochowskiego, gdzie się podzieli Wokulscy? Czyżby w ogóle ich nie było? Skądże? Byli, ale w Kongresówce, ale w Zagłębiu Śląsko-Dąbrowskim, a nie w Galicji. Tam bowiem panuje światobliwy, patriarchalny układ społeczny z lat 1820—30. Prawda Pemmesle założył fabrykę, prawda powstaje bank felodemijski, ale stanu trzeciego, który obejmował właśnie prymat społeczny na Zachodzie przynajmniej części Polski prawie zupełnie nie ma. Stąd też Bałucki i Lam zachowują proporcje realizmu nie ukazujący wielkich polskich kapitalistów mieszczańskich.

Nie ukazujący z tej prostej przyczyny że nie mogli ich pokazać. Tak więc „Oreodni-czkie Wilkowską” finansuje hr. Albin Skir-gielko, tak więc cichym współniktem kolei ławrowsko-wilkowskiej zostaje nie mieszczanin, lecz kapitalista szlachecki: Klonowski. — Nie zobaczymy też mającego właśnie przybie-rać na sile procesu wyrzucenia, posiadaczy ziemskich z majątków. Wcześni pisarze pozytywizmu pomijają ten fakt milczeniem. — U Bałuckiego mieścić się on będzie stale na zapleczu narracji, u Lamy zaś traci swoje znaczenie, stanie się epizodem ubocznym. — A w banku felodemijskim nie będzie fabrykantów. Założy go wprawdzie inteligent dr Mitrega, ale głównymi akcjonariuszami staną się ziemianie.

Gdyby sporządzić statystykę bohaterów powieści Bałuckiego ze względu na ich pochodzenie społeczne, to z łatwością można by się przekonać, że są to oprócz szlachty niemal wyłącznie inteligenci lub drobnomieszczańskie. Dola inteligencji stanie się głównym ośrodkiem zainteresowania ówczesnych powieściopisarzy usiłujących przedstawić jej dwuznaczną, czną rolę. Starając się przedostać na salony, gdzie przyjmowana była niechętnie, inteligencja oddziela się od mieszczaństwa, tworzy zupełnie odrębną grupę społeczną. Przyjrzyjmy się jej. Kto stanowi tu większość? — Przede wszystkim szlachta wyparta ze swych majątków, szlachta zmuszona do osiedlania się w stolicach prowincjonalnych dystryktów. Ostatni etap jej degrałacji oto treść „Bylszycy nędzy”, „Pańskich dziadów”, i in. beletrystycznych utworów autora „Gruby ryb”. Wrastanie zdeklasowanego mieszczaństwa w inteligencję, łączenie się z drobnomieszczaństwem tłumaczy nam chyba najlepiej dzieje rodziny Linowskich. O poprzednich losach tej wyraźnie zbankrutowanej famiiłii pisarz milczy. Na ukazanie tego, co stanowiło prolog do historii polskiej inteligencji nie zdobył się żaden ze sztandarowych literatów tej epoki. W tym miejscu zastępuje ich wykaz długów tabularnych. On dopowiada to, co Lam i Bałucki przemilczeli. A dalej zaczyna się nieubłagana relacja o różnych drogach upadku „wysadzonych z siódła”. Zepchnięci do większych miast albo tworzyli miejscową inteligencję, zasilał ją i tak już ogromne szeregi biurokracji, albo też zostawali „lumpami”. Adam Linowski, hr. Maurycy utrzymankowie kobiet i fałszerze weksli stanowią wymowne przykłady klęski poniesionej przez szlachtę. I ich postępowanie nie jest przecież uzależnione od konfiguracji

gwiazd, ani też od przyprawy sił duchowych. Jeśli ojciec Leonii okradła kasę, to nie czyni tego gwoili własnej przyjemności, ale poto, by utrzymać się na równej stopie z tymi wszystkimi posesjonatami, którzy uważają go jeszcze za jednego ze swoich. Ale już jego córka opuści przyjęcia pełne hrabiów i księża. Opuści na stałe. O awans bowiem nie było wówczas tak łatwo.

Jedną z najbardziej frapujących postaci w całej twórczości Bałuckiego jest niewątpliwie mąż Leonii Józef. Ten światobliwy bohater nie ma przecież za sobą genealogicznej tradycji mieszczaństwa, to chłop.

Raz tylko wspomina autor o jego rodowodzie. Tylko raz. I wiemy o tym jedynie na podstawie tej udzielonej nam jeszcze na początku powieści informacji. Nic bowiem poza nią na to nie wskazuje. Józef zasymilował się, Józef zapomniął o swoim pochodzeniu, wyparł się go. Zbogacony parweniusz kupował ongiś herb, obecnie zaś stał się propagatorem tej klasy, która go zaadoptowała. Będzie jej bronił, jak tyłu innych chłopieckich synów, z czynających właśnie zapłacić uniwersytetu. Awans społeczny poszczególnych jednostek wymagał od nich, by zapomnieli o swojej przeszłości, o swojej odrębności społecznej. — A później... A później adwokat Józef zostawał pułkownikiem Omskim. Ale to stanie się dopiero w 20. leciu.

Pisarze mieszczańscy XIX-go wieku mieli swój ulubiony motyw: nieodzwonny rekwizyt większości powieści. To miłość człowieka z plebsu do arystokratki, do kobiety na wyższym szczeblu społecznym. Motyw ten docze-

kał się licznych opracowań, przeróbek, wariantów od Stendhala aż po Mniszkównę. Stał się w końcu niezawodnym chwyttem literatury brukowej i w tej postaci zawędrował „pod strzechy”. Wówczas jednak gdy podchwytkał go Bałucki, gdy modyfikował go Lam, przenosząc cały ciężar z różnic społecznych bohaterów na różnice finansowe, posiadał on jeszcze dobrą tradycję literacką. Posługiwali się nim wszyscy niemal dobrodusznym prorocy mieszczańskiego arywizmu. Bałucki nie wyszedł poza nich. Ba, nawet nie miejsca, w których zdobywali się oni na trafną interpretację historyjek erotycznych, wypełniał polski pisarz sentymentalnym labiedzeniem nad przesadami kastowymi. Raz tylko zdobywa się on na realistyczne ujęcie tego problemu. Czyni to opisując miłość pomocnika Kowalskiego do najmłodszej córki Lenowskich, miłość zakończoną małżeństwem. Jedno jest tu zgodne z rzeczywistością: to to, że drobnomieszczaństwo żenił się z córkami zdeklasowanych ziemian. Naturalnie romans jest tu zupełnie dowolną interpretacją faktu. Miłość służy tu jako motyw rehabilitacji bohatera. Nie zapominajmy przecież, że zaraz się rozpocznie polski „Własciciel kuźni”. Bardzo zabawne jest to przywiązanie pozytywistów do kuźni. Tam właściciel kuźni, tu pomocnik kowalski. Schemat powieści pozytywistycznej nie mógł ulec naruszeniu. A więc immanentnie szlacheć mieszczaństwa i zdegenerowana arystokracja. Naturalnie Bałuckiego nie obchodził tutaj warunki pracy czeladników w kuźni, ani sposoby, którymi Maciej Knopf dorobił się kamienicy. Wystarczała mu przecież jego zacość, je-

go nieposzlakowana uczciwość. Praktyka życiowa wzniosłego adwokata, sentymentalnego kupca zostaje osłonięta tajemnicą. Widzimy ją ze strony możliwie najbardziej niewinnej. — Tak powstał ów dziwny wizerunek, na którym handlowy przedsiębiorca przypomina do złudzenia Celadona. W końcu zaś przychodzi „śad ostateczny”, podnoszący jego zasługi. „Śad ostateczny” urządzili pisarze tej epoki w epilogach swoich utworów. Autor gromadził swych bohaterów, zestawiał ich postępowanie z kodeksem mieszczańskiej moralności i przystępował do rozdawania kar oraz nagród. Wszyscy ziemianie zarówno zdeklasowani jak i utrzymujący się jeszcze na swych folwarkach, zostają potępieni. Czytelnik może wiedzieć o tym z góry. Wyjątki w tej regule będą naprawdę bardzo nieliczne. Raj bowiem jest wyłącznym przywilejem mieszczaństwa.

To naprawdę dokładne i nieomyłne kryterium sądzenia stracił już niestety Lam. Autor „Głów do pozłoty” stracił wiarę w kapitał przemysłu, w idyllę mieszczańskich pokwitów „Starych Kuweliów”.

Teza o „zepsutej arystokracji” i o „twórczych przemysłowcach” budzi coraz więcej powątpiewań. Urywanie w połowie powieści, 12-letni przeskok w narracji, jakim posłużył się Bałucki dla udowodnienia swojego twierdzenia zyskują coraz mniejsze uznanie. Przejawia się wierzyc w doskonałość mieszczańskiego wychowania. Pojawia się niepokojący obraz głodu. Drobnomieszczaństwo głoduje, drobnomieszczaństwo nie ma co jeść. Ktoś za to musi być odpowiedzialny.

Jan Baranowicz

Józef Lompa — przyjaciel śląskiego ludu

W czerwcu upłynęło 150 lat od przyjścia na świat Józefa Lompy, jednego z najbardziej zasłużonych działaczy kulturalnych Górnego Śląska z okresu niewoli.

Data urodzenia Lompy łączy się z ostatnim aktem tragedii Polski z pierwszej niepodległości: Insurrekcją Kościuszkowską i trzecim rozbiorem. Lecz Górny Śląsk utracił niepodległość na wiele lat przed tym. Szamotał się natomiast w pętach innej tragedii: pańszczyźnianego ucisku i wynarodowienia.

W tych czasach chłop śląski buntował się często przeciw pańszczyźnie. Zwłaszcza na Opolszczyźnie buntury chłopieckie były częste. Lecz działalność Lompy przypada na okres wygasania już buntów. Jest to przełom 19-go wieku. Tragiczny dla wsi śląskiej jest zwłaszcza rok 1847, rok posuchy, głodu i tyfusu. Ginię w tym czasie na Górnym Śląsku z powodu epidemii 50 tysięcy ludzi.

Zresztą Lompa buntów zbrojnych nie rozumiał, i nie pochwalał. Wszystkie siły i zdolności poświęcał walce kulturalnej, którą uważał za trwalszą i owocniejszą. Zakładał towarzystwa polskie, organizował czytelnie i biblioteki, pisał. Poziom kulturalny wsi śląskiej w tych czasach był zastraszający. We wspomnianym już rękopisie Lompy znajduje się wzmianka na temat stosunków mieszczańskich chłopów: — „Podłoga jest tylko jak gumno glinka obita. Króliki, morskie świnki i gołębie w izbach chowają. Młode cielecia i prosieta również. Świnie, które karmią, do izby wpuszczają. W niedzielę warzą więcej kapusty, aby mieli gością czym uraczyć. Zeby ciepła została stawiają ją z miasą do łóżka pod pierzynę”.

Podobnie pisał kiedyś Stanisław Staszic o doli chłopów w Polsce.

Lompa cieszył się każdym przejawem kulturalnym chłopów. Gdy w „Przyjacielu Ludu”

*) Konstanty Prus — „Józef Lompa”.

Ówczesny Śląsk*) nieczym nie przypominał dzisiejszego. Warunki społeczno - gospodarcze jego ludności inne były na wsi, inne w mieście. Mieszczaństwo miało swobody osobiste i wolny wybór zawodu. Dla ludności wiejskiej istniało w całej pełni poddaństwo z jego ciężarami. Bez woli pana nie mógł chłop zmienić miejsca pobytu, nie mógł dowolnie wybrać zawodu. Uprawiał obszar dworskie, sam głodny, napój nagi i analfabeta. Wielki przemysł istniał w zacząłkach. Robotnicy rekrutowali się z ludu wiejskiego za cenę zwolnienia od pańszczyzny. Nie mieli lepszych praw od chłopów. Z chwilą opuszczenia pracy wracać musieli na rolę, podobnie jak i ich dzieci. Szkoły istniały wprawdzie przy kościołach parafialnych ale nie miał kto do nich uczęszczać. Książki polskie rzadko wędrowały tutaj, najczęściej z częstochowskich kramów.

Na tym tle społecznym jawi się postać Józefa Lompy poety, publicysty, kronikarza, zbieracza pieśni, gadek, podań, nauczyciela, naukowca i społecznika.

W ówczesnym czasopiśmie ukazał się okolicznościowy wiersz chłopca Olszewskiego. Lompa pisze z radością — jest to „czywiste świadectwo, że i między nieokrzesanym polskim ludem naszym znajdują się tacy, którzy nie tylko do pluga i cepów się biorą, ale nawet i do pióra sięgają”. Kiedy indziej tak pisze o czytelnikach na wsi: „Co do czytelników wiejskich, dobrały rzecz była, żeby się w gminach gospodarze połączyli, którzy by się do pewnego porządnego domu czytelnictwa schodzili. Nie szkodziłoby, też, żeby się komitet obrał, któryby w powszedności czytelnikami zarządzał. Do pomocy mógłby mieć kolportera, któryby, zaopatrzonego w książki do sprzedaży, zwłaszcza do czytelników wiejskich, wsi i miasta nasze obchodził czasem pod pewnymi warunkami i na kredyt dawał lub też na odpustach i jarmarkach. Byłby to bibliotekarz na-

rodowy, ustawicznie wędrujący a co prawie: — istotny misjonarz”.

Oczywiście władze niemieckie przeszkadzały jak mogły tej pionierskiej pracy śląskiego społecznika. Wreszcie uderzyły najmocniej. W 53 roku życia pozbawiły go posady organisty i nauczyciela. Równało się to wtrąceniu w kompletną nędzę. Lompa opuszcza dobrze postawione gospodarstwo w Lubczy i przenosi się do Woźnika, koło Tarnowskich Gór. Nadto uderzono go moralnie. Jako młody podał gadzinową Regencja. Opolska próżniactwo, pijaństwo i rozpustę. Lompa do końca życia nie wrócił już do nauczycielstwa.

Cóż Lompa pisał? — Pisarstwo było trudną, większą częścią jego życiowego trudu. Trudu, co promieniował daleko poza grób, co przekazał go potomnym. Został Lompa pozycją literackich ponad sto. Wiele z tego wyszło osobno w drukarniach Opola, Wrocławia, Mikołowa, Gliwic, Bytomia, Koźla, Bochni i innych. Wiele wydrukowano w współczesnych czasopiśmie śląskich, poznańskich, warszawskich, w pierwszym rządzie w popularnej „Gwiazdce cieszyńskiej”. Pisał o wszystkim co robił, Słowo u niego było „czynny testamentem” — jak by powiedział pięknie poeta Cyprian Norwid. Był organistą — więc opracował pieśni kościelne, modlitewniki, żywoty świętych, przewodniki. Był nauczycielem — więc pisał broszury historyczne kroniki, podręczniki szkolne. Był dobrym gospodarzem — więc przetłumaczył z niemieckiego dzieło księdza Dzierżonia o pszczelarstwie, podawał praktyczne uwagi jak hodować owoce, warzywa i chmiel. Był korespondentem towarzystw naukowych — więc zbierał materiały ludoznawcze. Uważał się za literata — więc układał powiastki i wiersze.

Pródnosć naprawdę obfita i wielostronna. Lecz Lompa nie stanowił pozycji literackiej czy naukowej. Oceniać go trzeba ze stanowiska wyłącznie śląskiego. Pisał pod wpływem potrzeb środowiska. Nie były to dzieła. Daleko stał w tyle poza Miarą, Bończykiem, czy Damrotiem — pisarzami Górnego Śląska. Lompa przez swe prace publicystyczne i literackie zasłużył się przedewszystkim wsi śląskiej. Był pierwszym, który zajął się ludem wiejskim, oświecał go, bronił przed wszystkim, kim, uświadamiał narodowo. Jego książeczki znalazły się w prowincjonalnych księgarniach i straganach odpustowych. Obeszły Górny Śląsk a nawet i inne części Polski. Jako młody chłopak spotykałem je na stołach z dewocjonaliami u handlarzy jarmarcznych w krakowskim. Aż tam dotarli. Na książkach Lompy uczył się lud śląski gospodarstwa domowego, higieny, dziejów Śląska. Uczył się przede wszystkim słowa polskiego a przede wszystkim słowa łączności z Polską.

W następnym numerze „Wsi”:

pełne pokwitowanie książek

nadesłanych do Redakcji

Stanisław Witowski

Z PAMIĘTNIKA WIEJSKIEGO NAUCZYCIELA

(dokończenie ze str. 6)

kres wojenny — jak przedko? W istocie — widzę, że nie wiele więcej, a może mniej ode mnie umie, no i nie przejmuję się nauczaniami jak ja. Grunt zabiegać około dobra codziennego. Z komendantem, z wójtem jakieś rozmowy prowadzi, jeździ po okolicy na rowery. Podobno — sam mi mówi — ma objąć kontrolę wiatraków na całej gminie. Wcale mu nie zazdroszczę, tylko... Czuję się znowu, jak i w mieście — bardziej nawet — samotny.

Wracając do wójta — nigdy nie zapyta, czego potrzebuje szkoła. Zagabnięty — słucha w milczeniu, przechyliwszy na bok głowę. Nie odpowie mi tak, ni owak i już umyka — do jakich ważniejszych spraw? A toć ja nie mam tablicy, w klasie, ławek, opalam jedno tym, co siostra w parku nazbiera — upadłych szyszek i gałęzi.

Mniejsza zresztą o to — pożyczylem mu, gdyż nie czytał jeszcze „Chłopów” Reymonta. Gdy po tygodniu zagadnałem go, okazało się, że jeszcze nie zajął do książki. Po dwóch gdy również nie znalazł czasu — zażądałem zwrotu i wtedy się okazało, że powieść zaginęła... Sam udałem się do nich na piętrowo w oficynie i wspólnie z Miłą, wójtową przeszukałismy cały dom. Przepadła... Może kto pożyczyl bez pytania, gdzieś spalił? — Sprawa została rozstrzygnięta, zaś mój szacunek

dla wójta osunął się bardziej jeszcze w dół. — Co to za człowiek?... O czym myśli? Co jest treścią jego życia?

Chociaż wczoraj przy niedzieli miałem możność trochę się przekonać. Co nie bardzo mi się podoba, chłopcy wsiwli urządzili już muzykę na pięterku w remizie straży pożarnej. Zaszedłem tam popatrzeć o grubym zmierzchu — salka hasała pijana, a pośrodku z Elą wójt — także niezwykłe rozgrzany, różowy jak jego koszula... No, Miłej już się nie dziwię. Taki to beznamiętny króliczek, choć sympatyczny, biały, ale wójt z Niemką, gdy na zachodzie warczą jeszcze armaty, czasem rakietą czerwona wytrysnie... Znienacka ukazało się niezwykle oświetlenie na wschodniej północy. Wywołałem wójta, by mu to pokazać — popatrzył w milczeniu i poszedł — znowu hasać — czerwony, błyszczący potem... Fe! Niesmaczne. Gdy w ludziach jeszcze niepokój, tylu Polaków ginie na froncie i tam w Niemczech — oni już tu muszą tańczyć, do nieprzytomności pić, a przeważnie wójt... Zaczynam nim gardzić pomalutku. Bo, że tam się bawiła młodzież dworska — że wsi mało kto był — przynajmniej nie starsi, jak Lingas, Wójtyś, Krawczyk... Siedzą u siebie i myślą o jutrze, wiosennej pracy, końcu wojny — oto gospodarze.

Zygmunt Garstecki

Dział wydawniczy Zw. Samopomocy Chłopskiej

Decyzją Zarządu Głównego Z. S. Ch. został powołany do życia Dział Wydawniczy. U podstaw tej decyzji leży myśl stworzenia nowoczesnego i postępowego ośrodka wydawniczego, nastawionego na wszechstronne zaspokojenie zainteresowań i potrzeb czytelników wsi. Zadania tego nie spełniają dotychczasowe wielkie instytucje wydawnicze, operujące przede wszystkim na rynku miejskim. Wiesz jest w wyjątkowo niesprzyjającym położeniu, jeśli chodzi o dopływ słowa drukowanego. Nie ma w tym zakresie wypracowanego planu wydawniczego, brak jest szerokiej i sprawnej sieci kolportażu i wreszcie stosunkowo słabo jest rozwinięte czytelnictwo. Dotyczy to zarówno wydawnictw prasowo - publicystycznych jak i książkowych. Sytuację tę pogarszają ciężkie warunki gospodarcze oraz niższy niż w mieście poziom oświaty.

W tych warunkach Dział Wydawniczy podejmuje rozwiązanie następujących zagadnień:

1. Opracowanie planu wydawniczego dla wsi w skali ogólnokrajowej.

Plan uwzględni całokształt zagadnień czytelniczych wsi i stworzy podstawy do skoordynowania wysiłków w tej dziedzinie oraz uwzględni hierarchię potrzeb, zapewniającą celowość podejmowanych wydawnictw.

2. Zbadanie potrzeb i zainteresowań czytelników wsi.

Zagadnienie to jest otwarte i nieprzepracowane. Jedną z istotnych przyczyn słabego rozwoju pracy wydawniczej w odniesieniu do wsi jest właśnie nieznanie jej potrzeb w tej dziedzinie. Opóźnienie gospodarcze, społeczne i kulturalno - oświatowe wsi w stosunku do miasta, powoduje odmienną potrzebę i konieczność odrębnego potraktowania wsi jako rynku wydawniczego. Przystudiowanie tego rynku — to jedno z naczelnych zadań, warunkujących powodzenie i realność planowa. nia akcji wydawniczej na tym terenie.

3. Upowszechnienie czytelnictwa:

a) kolportaż słowa drukowanego to pierwszy czynnik upowszechniający czytelnictwo. Kolportaż na wsi nie istnieje — są tylko mniej lub bardziej nieszczęśliwe próby rozwiązania tego niesłychanie trudnego problemu. Planowaną organizację kolportażu oprze się na sieci organizacyjnej Związku Samopomocy Chłopskiej przez zaprowadzenie ruchomych punktów kolportażu w gminach, zaopatrywanych przez Centralną Księgarnię Z. S. Ch. i jej filie wojewódzkie i powiatowe. W dalszym etapie przewiduje się organizowanie stałych punktów księgarsko - kolportażowych w gminach w oparciu o Gminne Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej. Kolportaż będzie równocześnie przeprowadzał selekcję słowa drukowanego, wchodzącego na wiesz. Jego rola nie ograniczy się tylko do rozprowadzania wydawnictw Związku, lecz jednym z zasadniczych jego celów będzie zapewnienie wsi dopływu najcenniejszych produktów ukazywających się na narodowym rynku wydawniczym.

b) Organizacja czytelnictwa musi iść równoległe z kolportażem. Współdziałanie Związku Samopomocy Chłopskiej, Chłopskiego Towarzystwa Oświaty i Kultury oraz organizacji młodzieżowych w zakresie upowszechnienia wszystkich form czytelnictwa jest warunkiem do powszechnego rozbudzenia czytelnictwa na wsi przy równoczesnym nadawaniu mu kierunku jego zainteresowań zgodnie z planem wydawniczym i istotnymi tendencjami rozwojowymi społeczno - politycznymi, gospodarczymi i kulturalno - oświatowymi.

W oparciu o znajomość potrzeb czytelników wsi, zorganizowanie sprawy sieci kolportażu i upowszechnienie czytelnictwa we

wszystkich jego formach pozwolą na szybkie i skuteczne podniesienie stopnia umysłowego kultury i umożliwienie wsi włączenia się w tempo nowoczesnych procesów politycznych, społecznych i gospodarczych. Jedną z zasadniczych przyczyn opóźnienia cywilizacyjnego wsi był brak książki i gazety. Udostępnienie ich najszerszym masom chłopskim stworzy drugi — obok szkoły — czynnik postępu społecznego na wsi.

Dla wykonania powyższych zamierzeń niezbędna jest współpraca wszystkich zainteresowanych ośrodków społeczno - gospodarczych: Spółdzielczości, młodzieży i instytucji kulturalno - oświatowych. W tym celu zostanie powołana Rada Wydawnicza, jako organ doradczy i koordynujący działalność wydawniczą na wsi. Z drugiej strony wykonanie takiej akcji wymaga nakładu dużych środków finansowych. Z pomocą musi przyjść tutaj państwo z uwagi na znaczenie i charakter inicjatywy oraz rozległość jej wpływów na kształtowanie się stosunków we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego wsi. Pomoc czynnika społecznego — samej wsi — musi wyrazić się przede wszystkim w poparciu kolportażu oraz masowym abonamencie pism i zakupie książek. Do zadań Działu Wydawniczego będzie należało doprowadzenie na wiesz taniej prasy i książki.

Karol Kowicki

Wieczór kielecki

Kielce ostały się mimo wojny. Tu nie chodzi o to, czy wyraz architektoniczny domów i zabudowań tego miasta jest brzydki, lub ładny. Wystarczy, że Kielce zachowały się nadal, jako konkretne pojęcie geograficzne, społeczne, gospodarcze i kulturalne. Wystarczy, że Kielcom można serdecznie gratulować za wspólną podstawę ludności miasta i całego województwa w okresie ponurej nocy okupacyjnej. Gdy siedziałem w Montelupich w roku 1943-cim i słyszałem od kolegów więźniów o tym wszystkim, co robiło się i co działo się wówczas w województwie kieleckim, to chyba najuczciwiej tą „Wielką Sprawę” ziemi kieleckiej określić, jeśli powiem, że tu w kieleccyźnie ludzie żyli tylko Walką i ideą Niepodległej Polski.

Tu na ziemi dawnego województwa kieleckiego, poraz pierwszy po klęsce 1939 roku a w pięć dni po powstaniu warszawskim w sierpniu 1944 r. — przygodnie zobaczyłem naszych partyzantów, ubranych w mundury żołnierzy Wojska Polskiego.

Tu na ziemi kieleckiej, jadąc nocą sierpniową z Częstochowy do Krakowa, fragment spotkania tych młodych, bardzo młodych partyzantów — przeorywał mnie takim bólem, jakbym z nimi tam razem był, w ich — jakże wówczas beznadziejnym a pełnym bohaterskiego poświęcenia — życiu. Może dlatego, że wówczas i teraz, jakbym czuł wyrzut sumienia, jakbym czuł się współodpowiedzialnym i współwinnym, że dopuściliśmy, my starsze pokolenie, do takiego ogromu strat i spustoszeń wśród naszej młodzieży. Chociażby, za tę młodzież, w partyzanckich walkach utraconą, musi się tę świętą ziemię — upartej walki z niemczyzną — całym sercem kochać.

Kielce nie próżnują. Trzeba przyznać, że w ciężkich bardzo warunkach pną się w górę. Wprawdzie, w przemysłowo - bogatą część dawnego województwa kieleckiego odpadła, znaczenie samych Kielc podniosło się jednak, na skutek kreowania w tym mieście nowych urzędów i instytucji. Na razie miasto nie dysponuje odpowiednimi pomieszczeniami, biura urzędów i instytucji ulokowane są systemem zagęszczenia. Lecz atmosfera — w zagęszczonych ludźmi urzędach i instytucjach jest życzliwa i czysta.

Bardzo interesowałem się oddźwiękiem zjazdu pisarzy chłopskich w Rytwianach i organizowanego wieczoru literatów chłopskich w Kielcach — wywołanym wśród naszej inteligencji typu mieszczańskiego - urzędniczego. Pierwsze sądy wypadły żałośnie — mimo, informacyjnych wywieszek i skromnej, bo skromnej, ale zawsze wystawy chłopskiej twórczości książek w jednym oknie „Czytelnika”, przy ulicy Sienkiewicza. Otóż, jakaś starsza dama, słysząc coś niecoś, gdy mówiłem, że chcę się dostać na zjazd pisarzy, tygodni-

Seweryn Skulski

O ZJEŻDZIE

Jechałem na zjazd z wielkim zaciekawieniem, jak ci ludzie, pisarze chłopscy wyglądają, tak niedawno niebezpieczni dla starych form rządów sanacyjnych, które utrudniały im pracę dla wsi. Wystarczy wspomnieć jak się odnosiły sanacyjne władze do pisma „Wiesz” — Jej pieśń.

I cóż ujrzałem. Nie żadni hrabie, ale tacy sami chłopci, jak i ja, częstokroć samouki, bo to, co nam dała przedwojenna wiejska szkoła powszechna pod endecją i sanacją to jeszcze nie nauka.

Jak się dowiedziałem w rozmowie z poszczególnymi pisarzami, ich szkołą była krzywda wsi, jej bieda i niski poziom kulturalny. Często przy nędznym świetle naftowej lampy pisali swoje niezgrabne listy do gazet ludowych, czytali i szukali dróg wyprowadzenia wsi na słoneczniejsze miejsce.

Spodziewam się, że inni zreczniej i lepiej opiszą spostrzeżenia ze zjazdu. Ja chciałem tylko scharakteryzować postacie niektórych pisarzy chłopów będących na tym zjeździe.

Stopczyk to jeden jeszcze z żyjących starych gawędziarzy. Sesjom zjazdu przysłuchuje się pilnie. Gniewa go nazwanie przez nowatora śpiewek ludowych katarzynskimi, — „Nie wytrzymam” — zrywa się chcąc mówić. Ni by wymowy nie ma, ale posłuchać go dobrze. Wie co mówi: „Bez chłopca nie zrobicie nic dla chłopca”.

Żeby w latach Stopczyka siedzieć na sesjach do pierwszej godziny w nocy i zdania nie przepuścić, to trzeba być chłopem.

ka „Wiesz” do Rytwian, zaindagowała mnie, czy to jest zjazd pisarzy gminnych całego województwa. I obrażała się, gdy jej powiedziałem, że ci pisarze „gminni” piszą do śmiechu, albo do płaczu, jak który tam chce, lecz urzędy gminne — z wielu z nich — nie miałyby prawdopodobnie żadnej pociechy.

Żałuję, że walęsając się samotnie po Kielcach, nie mogłem przeprowadzić żadnej rozmowy dłuższej z działaczami kulturalnymi organizacji chłopskich i robotniczych. Zetknięcia z działaczami tego typu są bardzo ważne, gdyż dają obraz, jak daleko posunął się proces kształtowania się inteligenta pochodzenia robotniczo-chłopskiego, w miejsce inteligenta pochodzenia mieszczańskiego - urzędniczego. Oczywiście, że w skali ogólnopolskiej, materiał pozjazdowy niewątpliwie da obraz, że na tym odcinku w grupie chłopskiej sprawy posunęły się daleko naprzód.

Pisarze chłopscy, literatura chłopska — jak słusznie starał się objaśnić w wykładzie swoim redaktor Król — nie jest zjawiskiem nowym. Idzie o to, ażeby literatura chłopska była wyrazem artystycznym i czynnikiem konstruktywnym — w poziomie ogólnonarodowym. Wówczas bowiem spełni te zadania, jakie nakłada historia na twórcę grupę inteligencji, pochodzenia chłopskiego a współdziałającej z inteligencją pochodzenia robotniczego.

Nie mogę powstrzymać się od poświęcenia kilku słów — już nie wojewodzie — lecz obywatelowi Wiśliczowi.

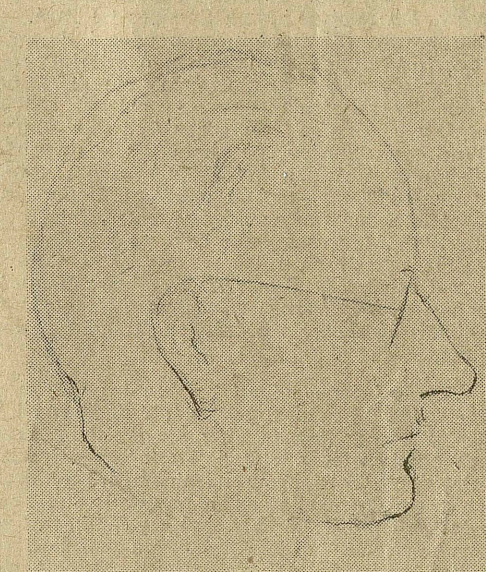
Obywatelu Wiśliczu! Nie znacie mnie i ja Was nie znam. Dlatego, mogę sobie na to, co napiszę pod Waszym adresem — pozwolić. Otóż wyznam, że bardzo uważnie słuchałem gdyście przemawiali do pisarzy po wieczorne autorskim. Tak, jak Wy mówiliście, może mówić tylko człowiek, który zna całą prawdę życia chłopów kieleckiego. Dlatego, my wszyscy uczestnicy rytwiańskiego zjazdu pisarzy chłopskich wierzymy, że upartą wolą i pracą zrealizujecie ten program gospodarczy i kulturalny województwa, z którego szkicem nas zapoznaliśmy. Wierzmymy dlatego, ponieważ w wydzwieku Waszych słów, słyszało się pokrycie uczciwej prawdy odczucia i rozumienia doli i niedoli ludności województwa kieleckiego.

Obywatelu Wiśliczu! Tym wszystkim, co tu piszę — nie chciałbym Wam zrobić przykrości. Lecz, tak rozumiem mój obowiązek. A obowiązek nakazuje mi powiedzieć, że patrząc na Was i słuchając Was — dojrzelismy wszyscy w Was pozytywny typ inteligenta. pochodzenia chłopskiego, z korzeniami tkwiącego w dobrym i złym naszej Ojczyzny, dlatego godnie reprezentującego te wszystkie treści naszego państwa, które rozumiemy się przez szczytne określenie — Polski Ludowej.

Wyrobek nie usiedzi długo na jednym miejscu, zawsze z pląją pism w teczkę, z różnymi wykresami i rozprawami, chodzi, pyta, porównuje i zapisuje starannie, choć lata umęczą mu już oczy. Na pozór zwyczajny chłop z oznakami ciężkich przeżyć życiowych na twarzy, a jednak tak żywo interesujący się sprawami kulturalnymi.

Gębala aczkolwiek pozbawiony wzroku jest uczestnikiem każdej sesji od początku do końca. Wypowiada się rzeczowo. Nie popisuje się krasomówstwem i sloganów myślowych nie używa.

Czuła jest ruchliwy. Czuje się w Rytwianach jak u siebie w domu. Młodszym kolegom opowiada z lat dawnych. Ostrożnie w wypowiedziach, a jak już powie, to chce, żeby to było ważne.



rys. Stanisław Cieloch

Seweryn Skulski

Kotarba rzadko komu da dojść do słowa. Jest zbyt ogólnikowy dlatego, że wiele spraw chciałby jednocześnie załatwić, jest natomiast towarzyski i szczerzy. Zawsze szuka kogoś, kto by go słuchał. Zwiędził wiele krain i spotkał się z różnymi językami, ale typem chłopca małopolskiego pozostał.

Pogani brzmienie jego mowy jest czysto lokalne. Choćbyście dali Poganiowi wycinany frak, motylka pod brodę i cylinder na głowę, poznacie, że to chłop. Wcale nie wyniosły a skromny autor świetnych „Ugorów”. Patrząc na niego mam wrażenie, że jego duch silniejszy od ciała.

Kapuściński ma wielką łatwość pisania, artykuł redaguje na kolanie. Łatwo odróżni chłopca od tak zwanego chłopomana. Nowatorstwo w poezji go nie bawi, woli poezję tradycyjną, ludową. Uczył się przy ciemnej lampce naftowej, a chce, aby jego bracia uczyli się przy jasnej elektryce.

Jan Mareinek chłop małomówny, ale chłop z serca i ducha. Na mówiącego patrzy długo, chce go poznać od tyśiny, jeżeli ją ma, aż do pięt. Pewnikiem hołduje zasadzie: „sama mowa nie mówi wiele”. Jest on ostrożny w wypowiedziach i nie wykwinął, ale myślący i dlatego utwory jego cechuje realizm życia wsi.

Paleczny. Prawda, chłop wyrósł ale Pan Bóg zapomniał włożyć na niego nieco tuszu. Gdy mówi, gruby głos urywa mu się nagle, jakby do wody, aby drugi po dość długim czekaniu poszedł tą samą drogą. Ma się za poetę, wolałbych go w prozie, bo tu jeszcze w całych butach można chodzić.

Frasik zrywa się gniewny, podciągnie spodnie i w obronie wiersza „różgi brzoź malowały wicher” z miejsca przeciwnika chce zabić.

Piętak nie mówi często, ale może i tyle nie powiedziałby, gdyby nie organizował przewodu mowy w czasie podgarniania lewą ręką włosów na prawej stronie głowy. Tak też zrodziła się myśl ze utworu Konopnickiej to nie poezja, to tylko wiersze, choć miejscami nawet „piękne”. Dziwna rzecz. Cały naród dał jej uznanie. Czy wy zepchniecie jej „wiersze” wydaniem własnych „poezji” w ilości trzy tysiące nakładu, z którego po dwóch latach jeszcze można na składzie znaleźć dwa tysiące dziewięćset?

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.

Redaguje Komitet

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Redakcja rekopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wiesz”, Łódź, Piotrkowska 133, II p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2. D-016575

Wiesz

zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym, wpłacając należność na konto:

PKO Łódź VII — 1080,

z naznaczeniem na odwrocie przekazu: „Prenumerata „Wsi”.

Należy czytelnie podać nazwisko i adres zamawiającego.

Należność za prenumeratę wraz z przesyłką wynosi:

miesięcznie 40 zł
kwartalnie 120 zł
półrocznie 240 zł